Rok II. Lwów, dnia 15 czerwca 1896. Nr. 12.

PRZEGLĄD WSZECHPOLSKI

Dwutygodnik polityczny i społeczny.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Prenumerata w monarchii austro-węgierskiej wynosi rocznie 12 koron, półrocznie 6 koron.

Redakcya i Administracya: Lwów, ul. Maurycego Mochnackiego (Garncarska), 12.

OD REDAKCYI.

Stopniowy rozwój *Przeglądu wszechpolskiego* odbywa się tak szybko, iż w ciągu półtora roku zmuszeni byliśmy trzykrotnie łamy pisma rozszerzać. Ostatecznie z dniem 1 stycznia r. b. dosięgło ono rozmiarów, odpowiednich, zdaniem naszem, swemu programowi. Krótki atoli okres czasu, w którym się ten rozwój odbył, znaczna, pochłaniająca wszystkie siły praca redakcyjna, skupienie całkowitej uwagi na treści pisma, którą pragnęliśmy jak najbardziej podnieść, co nie było rzeczą łatwą wobec tego, iż *Przegląd*, pierwsze u nas w swoim rodzaju pismo, nie miał dróg utorowanych — wszystko to razem nie pozwoliło na początku uregulować należycie stosunków pisma i urządzić ostatecznie jego administracyi. Wobec tego, musieliśmy tymczasowo połączyć w jednem przedsięwzięciu trzy pisma, z których każde jest odrębną całością, ma swoje, odrębne zadania i, z natury rzeczy, musi mieć swoją sferę czytelników.

Dziś, gdy pismo, walczące od początku z ogromnemi, nieznanemi innym tego rodzaju przedsięwzięciom trudnościami, w znacznej mierze pokonało je szczęśliwie i z dużą słusznością może byt swój uważać za ustalony, chcemy wcześniej, niż pierwiastkowo zamierzaliśmy, reformy do końca doprowadzić i organizacyę pisma ostatecznie utrwalić. Na przyśpieszenie tego kroku wpływa okoliczność, iż coraz więcej zgłasza się osób, pragnących bądź *Przegląd* bez dodatków, bądź dodatki jego osobno prenumerować, co wskazuje nam potrzebę oddzielenia tych dodatków od *Przeglądu wszechpolskiego* i przekształcenia ich na odrębne, samoistne czasopisma.

Od 1 lipca r. b. wydawane będą, jako oddzielne pisma:

1. **Przegląd wszechpolski** (bez dotychczasowych dodatków) dwutygodnik polityczny i społeczny, w tym samym, co obecnie formacie i rozmiarach, t. j. w objętości 3-ch arkuszy druku, z okładką.

2. **La correspondance polonaise,** dwutygodnik polityczny w języku francuskim, w formacie i rozmiarach, przeszło o połowę zwiększonych.

Redakcyę powyższych dwu pism obejmuje dr. Ernest Adam.

3. **Gazeta handlowo-geograficzna** (obecnie Przewodnik handlowo-geograficzny), dwutygodnik ekonomiczny, organ Polskiego Towarzystwa Handlowo-Geograficznego, w rozmiarach obecnych, pozostająca pod dotychczasową redakcyą dra Wiktora Ungara.

Prenumeratorzy *Przeglądu wszechpolskiego*, którzy wnieśli przedpłatę za cały rok, będą do końca roku otrzymywali wszystkie trzy wydawnictwa.

Pozostali otrzymywać będą to pismo, które zechcą prenumerować na nowych, wyłuszczonych poniżej warunkach.

Przegląd wszechpolski będzie nadal prowadzony w tym samym duchu i zakresie. Przyjęcie, jakiego pismo nasze doznało śród czytającego ogółu, jest najlepszym dowodem potrzeby organu ogólno polskiego i możności jego istnienia. Nie znamy w naszych stosunkach przykładu, ażeby pismo, rozpoczęte z tak skromnymi, jak nasze, środkami, w krótkim czasie przeszło tak szybką ewolucyę. Przekonani od początku o donioslości podjętej pracy, dziś widzimy, że przekonanie to podziela liczna sfera czytelników, że utrzymanie pisma z dzisiejszym jego programem stało się potrzebą szerokich kół, podzielających nasze aspiracye.

Uważając, iż *Przegląd wszechpolski* w dzisiejszej swej postaci odpowiada zadaniom, jakie sobie postawił, uznajemy z tem wszystkiem, że treść jego nie jest pozbawiona braków, że wymaga ciągłych uzupełnień i ulepszeń, Staraniem naszem będzie nie zatrzymywać się w rozwoju, ale ciągle wartość pisma podnosić. Powiększając obecnie liczbę stałych współpracowników, będziemy w możności już od połowy roku wprowadzić pewne, drobne ulepszenia, nie zmieniające ogólnego charakteru pisma.

Po oddzieleniu dodatków, prenumeratę *Przeglądu* **zniżamy** z 12 koron na **10 koron (5 zł.) rocznie.**

Od 1-go lipca tedy prenumerata *Przeglądu wszechpolskiego* (bez dodatków) wynosić będzie:

	rocznie:	półrocznie:
W monarchii austryacko-węgierskiej	10 koron,	5 koron.
» cesarstwie niemieckiem	10 marek,	5 marek.
» Francyi, krajach unii łacińskiej, Brazylii i Argentynie . . .	14 franków,	7 franków.
» Anglii	12 szylingów,	6 szyling.
» Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej	3 dolary,	1 dolar 50 c.
» Królestwie Polskiem i cesarstwie rosyjskiem	10 rubli,	5 rubli.

Warunki prenumeraty *La correspondance polonaise* i *Gazety handlowo-geograficznej* zamieszczone są w dodatkach.

Prenumeratorów naszych (którzy nie wnieśli przedpłaty na rok cały) upraszamy o wczesne odnowienie przedpłaty na nowych warunkach oraz o wyraźne zawiadomienie, które pisma życzą sobie otrzymywać.

WZAJEMNE NIEPOROZUMIENIA.

Niektóre dzienniki rosyjskie zamieściły uwagi o zachowaniu się prasy polskiej wobec koronacyi carskiej w Moskwie. Ogromna większość pism polskich, nie wyłączając nawet tych, które zwykle przy podobnej sposobności lubują się w popisach frazeologicznych, spokojnie i przedmiotowo oceniła znaczenie koronacyi, jako ważnego wypadku politycznego, ale właśnie ten chłód i ta obojętność silniej uraziły i podrażniły prasę rosyjską, aniżeli uczynić by to mogły namiętne napaści lub skargi. Nawet lojalne oświadczenia *Czasu* i *Kraju* i hymny pochwalne dla Rosyi, zaintonowane przez ks. Stojałowskiego, nie osłabiły przykrego wrażenia. Zaznaczono je i dosyć uprzejmie pochwalono, ale wywnioskowano słusznie, że te głosy wyrażają tylko zdania i usposobienia osób pojedyńczych lub grup nielicznych, bo fałszującemu tercetowi nie wtóruje wcale opinia publiczna, przeciwnie, zagłusza go zgodnym chórem tam, gdzie się wypowiedzieć może, albo milczy, po wyrecytowaniu urzędowych sprawozdań.

W artykułach dzienników rosyjskich nie znajdziemy nic nowego, ale dlatego właśnie, że powtarzają poglądy, przestrogi i zarzuty niejednokrotnie wygłaszane, uznać je trzeba tymbardziej za wierne, zgodne z oryginałem odtworzenie opinii przeważnej części społeczeństwa rosyjskiego, a poniekąd nawet sfer rządzących i z tego względu poświęcić im można nieco miejsca i czasu. Zresztą wiążą się one dosyć ściśle ze sprawą, t. zw. polityki ugodowej, której kierownicy i gorliwi wyznawcy przy każdej sposobności, a więc i z powodu koronacyi nie przestają bałamucić kłamstwami i naiwnemi złudzeniami niedojrzałej lub zdemoralizowanej politycznie części społeczeństwa.

Jak zwykle bywa w podobnych wystąpieniach prasy rosyjskiej, wyrzuca ona Polakom. że przeniewierzyli się solidarności słowiańskiej. Istotnie, nawet wynurzenia wiernopoddańcze i panegiryki naszych ugodowców nie mogą iść w porównanie z hymnami uwielbień, z wylewami chamskich pochlebstw ubogich krewniaków słowiańskich potężnej Rosyi. Chociaż społeczeństwo rosyjskie, a zwłaszcza mężowie stanu w przystępie otwartości drwią sobie z afektów »bratuszków«, chociaż rozumieją, że t. zw. wzajemność słowiańska, że cała ta »polityka filologiczna« jest kłamstwem umówionem, tak się jednak przyzwyczaili do niej, tak nauczyli się ciągnąć z niej zyski, że wszelkie odstąpienie od wyrobionego szablonu uważają za bezpośrednią obrazę Rosyi, za objaw wrogiego względem niej usposobienia. Drobne narody słowiańskie, wiekowym uciskiem i niewolą znikczemnione, słabe, pozbawione żywej tradycyi historycznej, dziś jeszcze poniżane, gnębione i wyzyskiwane, nietylko z rachuby świadomej, ale w znaczniejszej jeszcze mierze bezwiednie, instynktownie ciążyć muszą ku Rosyi, bo jej potęga podnosi je we własnych oczach, bo jej opieka, chociażby żadnych zysków narazie nie zapewniała, dodaje im otuchy. My nie potrzebujemy sztucznego wytwarzania złudzeń, żeby z nich czerpać siłę moralną, mamy jej dosyć w sobie, w swojej tradycyi politycznej, w swojej świadomości narodowej. Nasz sojusz z Rosyą, gdyby nawet kiedykolwiek doszedł do skutku, opieraćby się mógł tylko na wspólności interesów realnych, na wzajemnej wymianie usług, na ścisłym rachunku strat i zysków. Tak to wymaganie od nas solidarności słowiańskiej w pojmowaniu rosyjskiem, jak również przemawianie w imię tej solidarności niektórych z naszych ugodowców — świadczy, że obie strony, które o pojednaniu, a raczej o kompromisie mówią, nie znają się należycie, nie rozumieją się dostatecznie i świadomie lub bezwiednie okłamują się wzajem. Nawet ten dziennik rosyjski *(Nowoje Wremia)*, który zasadniczo stawia sprawę »zgody rosyjsko-polskiej« na właściwym gruncie, wykazuje rażącą nieznajomość stosunków. Mówiąc o znanej książce p. Koźmiana, *Nowoje Wremia* zaznacza: »Dużo wody upłynęło od owych czasów (1863 r.) a teraz znajdą się i inne punkty, wspólne między politykami - realistami polskimi a polityką rosyjską, jeżeli tylko usunąć z kwestyi pojednania zbyteczny sentymentalizm, oraz wszelki fałsz, chociażby najsubtelniejszy, a natomiast traktować kwestyę tę prosto, z punktu widzenia interesu«. Dalej jednak dziennik petersburski przypuszcza, że p. Koźmian potępia politykę powstań »z ludowego punktu widzenia« i uważając sprawę polską, jako »sprawę miejscową«, prowincyonalną uznaje za najpierwszy warunek zgodnego jej załatwienia »otwarte poparcie władzy rosyjskiej i współdziałanie na korzyść ludu polskiego«. W tej trosce o lud polski widzimy i sentymentalizm zupełnie zbyteczny, i fałsz nietylko nie »najsubtelniejszy«, ale bardzo naiwny i pospolity. Najprzód władzy rosyjskiej nie chodzi wcale o »korzyść ludu polskiego«, powtóre ci, co otwarcie popierać ją przyrzekają, mają na widoku nie korzyść ludu, ale ze szkodą jego swój interes osobisty lub klasowy, potrzecie ci, którzy dla dobra ludu pracować pragną, nie mogą otwarcie popierać władzy rosyjskiej, bo ta z natury swej musi być interesom ludu przeciwną.

Nie dla polemiki, lecz dla przykładu przytoczyliśmy powyższe mylne zdania dziennika rosyjskiego, nie będziemy więc uzasadniali uwag naszych argumentacyą szczegółową. Powtarzamy tylko, że obie strony łudzą się i nie rozumieją się nawzajem. Nie dziwi nas wcale, że *Moskowskija Wiedomosti* podejrzywają naszych ugodowców, jakoby, niosąc chleb w dłoni, trzymali kamień w zanadrzu. Nasi politycy, chociaż tego nie mówią, podejrzewają również dobrą wiarę rządu i opinii rosyjskiej. Podejrzenia określone można wyjaśnić i ostatecznie usunąć lub przynajmniej osłabić, ale niepodobna zapobiedz skutkom błędów mimowolnych, bezwiednych, wynikających z niemożności zrozumienia się, z odmiennego sposobu myślenia i pojmowania stosunków politycznych.

W złej czy w dobrej wierze — na rezultat polityczny nie wpływa to bynajmniej — obie strony kłamią, mówiąc o warunkach pojednania. Politycy rosyjscy zapewniają, że jeżeli Polacy ograniczą swe dążenia do zachowania bytu narodowego i wyrzekną się stanowczo myśli o samodzielności państwowej — to pojednanie jest możliwem. Na pozór żądanie to zgadza się zupełnie z programem naszych ugodowców. Ale Rosyanin i Polak, powtarzając tę samą formułę pojednawczą, zgoła odmiennie pojmują »zachowanie bytu narodowego«. Dla nas, nie wyłączając p. Koźmiana, koniecznym warunkiem zachowania bytu narodowego jest pewna miara odrębności politycznej, pewien stopień samorządu. Przedstawiciele opinii rosyjskiej, nie wyłączając ks. Uchtomskiego, maja na celu przedewszystkiem »umocnienie jedności państwowej«. Rosya jest państwem wybitnie centralistycznem i dąży wytrwale do ujednostajnienia wszelkich urządzeń państwowych i społecznych. W każdej sprawie, chociażby dotyczącej tylko prowincyj czysto-rosyjskich opinia publiczna zaznacza wyraźnie dążenia centralistyczne, nieraz z pominięciem ważnych względów praktycznych, które się

takiemu sprowadzaniu do jednego mianownika sprzeciwiają. Nietylko federalistów, ale nawet umiarkowanych autonomistów niema wcale w społeczeństwie rosyjskiem. Jest to zresztą zupełnie naturalnem, bo cała historya rosyjska szła w tym kierunku i z pewnością państwo i społeczeństwo nie zwrócą nagle z drogi tradycyjnej dla wątpliwych rezultatów pojednania się z Polakami.

Sprawa polska jest dziś w każdem z trzech państw, które Polskę rozebrały, sprawą miejscową — powiada p. Koźmian w imieniu ugodowców. Prasa rosyjska z zadowoleniem przyjmuje to oświadczenie i uważa je za podstawę możliwej ugody. Tymczasem jest to fałsz wierutny i kompromis, na takim fałszu oparty, gdyby doszedł do skutku, doprowadziłby obie strony do nowych nieporozumień. Największym błędem polityków rosyjskich, którzy do pojednania się z Polakami byli lub są skłonni, jest właśnie uważanie sprawy polskiej, jako sprawy miejscowej. Błąd ten popełnił również Wielopolski a powtarzają dzisiaj nieudolni naśladowcy jego polityki. Fakt wspólnego programu politycznego dla Polaków w trzech zaborach, zalecanie im jednakowego w zasadzie sposobu postępowania wskazuje najlepiej, że sprawa polska nie jest nigdzie prowincyonalną, miejscową. Gdyby taki podział nastąpił — sprawa polska przestałaby istnieć i nie byłoby powodu rozprawiać o pojednaniu z Rosyą, bo do załatwienia wszelkich nieporozumień wystarczałoby zastosowanie odpowiednich reform administracyjnych. Nawet ugodowcy nasi, powtarzając bezmyślne zdanie o prowincyonalnym charakterze sprawy polskiej, uważają za obowiązek »zachowanie jedności narodowej«. Ma to być jedność duchowa, nic z polityką wspólnego nie mająca. Ale taka jedność duchowa jest nonsensem, który nie liczy się wcale z rzeczywistością. Przedstawmy sobie, że nastąpiła ugoda polsko rosyjska. Polacy w zaborze rosyjskim »skupieni około tronu« carów, »wspierają władzę i uczciwie współdziałają w interesie państwa, otwarcie ją popierają«, jak chcą p. Koźmian i *Nowoje Wremia*. To samo robią ich bracia w Galicyi, i oba odłamy narodu usilnie pielęgnują »jedność narodową«. Ale, jak wiadomo, interesy państwowe Rosyi i Austryi są zasadniczo sprzeczne i tej sprzeczności, wynikającej z dążeń naturalnych obu państw, z ich położenia terytoryalnego i t. d. żadna ugoda polsko-rosyjska, ani nawet interwencya osobista jej gorliwego faktora — nie usunie. Polacy w Królestwie, »szczerze współdziałający z władzą rosyjską«, na każdym kroku, w każdej sprawie niemal przeciwdziałają Polakom, którzy równie szczerze »skupili się koło tronu« Habsburgów. Tak byłoby w okresie pokoju, w chwili zaś możliwej wojny między dwoma państwami, jedni i drudzy, gdyby chcieli pozostać lojalnymi, zmienić by się musieli w zaciętych wrogów. A coby się stało wówczas z jednością narodową poprzednio już wskutek sprzeczności interesów politycznych zaboru rosyjskiego i Galicyi mocno nadszarpaną?...

Jeżeli program lojalistów naszych, nie jest złudzeniem, w które naiwnie wierzą, to albo okłamują Rosyę albo zamierzają zdradzić Austryę. Na kłamstwie lub oszustwie nie można budować polityki narodowej. Wyznawcy potrójnej lojalności, wbrew swemu programowi, byli dotychczas nawet w zaborze rosyjskim stronnictwem austryackiem, obecnie, być może, pragną zostać stronnictwem rosyjskiem. W każdym razie, twierdząc, że sprawa polska jest sprawą miejscową — mówią nieprawdę, mniejsza o to — świadomie, czy bezwiednie.

Widzimy z powyższych przykładów, że już preliminarya ugodowe, prowadzone przez publicystów, napotykają mnóstwo sprzeczności i wątpliwości, których niepodobna załatwić i rozstrzygnąć teoretycznie, a tymbardziej praktycznie. O ugodzie rozprawiają politycy realni, którzy niby stoją wyłącznie na gruncie interesów i faktów, a tymczasem wygłaszają tylko frazesy, nie badając wcale warunków możliwości zawarcia takiego kompromisu, który byłby nie nową próbą nieudatną uregulowania stosunku dwóch narodów, ale kombinacyą trwałą.

Kompromis polityczny udaje się tylko w państwie, mającem ustrój konstytucyjny, lub w takiem przynajmniej, gdzie stosunek stron, zawierających ugodę, jest prawnie określony. Inaczej, nie można uniknąć nieporozumień, nie można określić warunków, nie można traktować sprawy, jak interesu. Nie będzie przecie rząd rosyjski ogłaszał swoich warunków pojednania się z Polakami, nie będzie stawiał swoich żądań, które wolno przyjąć lub odrzucić. Zapewnienia prasy rosyjskiej, chociażby najbardziej kategoryczne, nie mogą mieć dla nas znaczenia realnego, a nasze akty skruchy i żalu za grzechy przeszłości, nasze oświadczenia wiernopoddańcze, nie dają ani rządowi, ani opinii publicznej żadnej rękojmi. Nieliczna grupa ludzi, nie mająca zwolenników swej polityki w społeczeństwie, może nawiązywać rokowania ugodowe, a jeszcze mniej liczna może je dowolnie zrywać i rozbijać, chociażby wbrew woli ogółu. Jeżeli sprawę należy »traktować jedynie z punktu widzenia interesów«, a inaczej traktować jej nie można, to trzeba mieć nietylko prawo rozprawiania o tych interesach, ale i prawo przedstawiania ich i stanowienia o nich. W przeciwnym razie niepodobna uniknąć ani »fałszywego sentymentalizmu«, ani niedomówień i zastrzeżeń milczących, dla obu stron niepożądanych, niepodobna uniknąć złudzeń, które mszczą się krwawo. Wskutek braku takiej podstawy prawno-państwowej, konstytucyjnej nie udała się przed trzydziestu kilku laty próba polityki ugodowej i jeżeli nie wywołała bezpośrednio, to przyspieszyła wybuch powstania, którego zapewne wcaleby nie było, gdyby zostało odroczonem.

Przykład Galicyi nie przeczy wcale naszym wywodom, owszem, stwierdza je całkowicie. Galicya wtedy dopiero wstąpiła na drogę kompromisu z państwem austryackim, kiedy to ostatnie przekształcać zaczęło swój ustrój w duchu konstytucyjnym, a twórcami tej ugody nie byli wcale, jak dziś głoszą, zwolennicy potrójnego lojalizmu i zachowawcy, ale dawni rewolucyoniści, demokraci i patryoci, jak np. Ziemiałkowski.

Z pewnością oddawna były w społeczeństwie galicyjskiem żywioły, do pojednania się z rządem skłonne, ale kompromis stał się faktem wtedy dopiero, kiedy zjawiły się warunki odpowiednie, kiedy ludzie, którzy sprawę tę podjęli, uzyskali możność przemawiania i działania nietylko w imieniu swojem i swoich przyjaciół, ale w charaktorze przedstawicieli uprawnionych opinii publicznej i interesów kraju.

Galicya zresztą, nawet w czasach największego absolutyzmu miała pewną odrębność administacyjną i jakąś lichą podobiznę ustroju konstytucyjnego. Stanowiło to, bądź co bądź, ułatwienie ugody, podobnie jak stan rzeczy w Królestwie i wogóle w zaborze rosyjskim przed r. 1863, bo przynajmniej wskazywało dosyć dokładnie zakres działania pojednawczego i umożliwiało wyrażenie żądań i potrzeb społeczeństwa. A jednak próba, podjęta przez Wielopolskiego nie odpo-

*

wiedziała oczekiwaniom rządu i nie zadowolniła społeczeństwa, ostatecznie zaś doprowadziła do katastrofy, dlatego przedewszystkiem, że nie uwzględniono głównego warunku wszelkiego kompromisu politycznego. Dziś, kiedy historya kilku lat, poprzedzających powstanie, została jako tako zbadaną i wyświetloną, śmiało powiedzieć można, że kompromis był możliwy w zasadzie. Znaczna i wpływowa część społeczeństwa nie chciała powstania i jakkolwiek o szczerem pojednaniu z rządem nie myślała, przyjęła by chętnie *modus vivendi*, któryby jej bardzo skromnym wymaganiom i interesom odpowiadał. Rząd pragnął również zjednać sobie Polaków, mniejsza o to z jakich pobudek i gotow był do ustępstw dosyć znacznych. Z tego, co o ówczesnym nastroju społeczeństwa dziś wiemy, wywnioskować wolno, że w 1861 r. mniejsze ustępstwa rządu, aniżeli zawierały reformy Wielopolskiego, zadośćuczyniłyby wymaganiom opinii publicznej i uspokoiłyby na razie społeczeństwo. Chciało ono mniej może, niż mu w rzeczywistości dawano, ale chciało żeby mu dano to, co uważa za niezbędne. Gdyby zwołano wówczas chociażby zaimprowizowane na prędce zgromadzenie przedstawicieli społeczeństwa, z pewnością żądania ich byłyby umiarkowane, a przy sformułowaniu szczegółowem potrzeb i interesów kraju, jeszczeby je zredukowali. Ani rząd nie wiedział, czego społeczeństwo polskie się domaga, ani to społeczeństwo nie wiedziało, czego spodziewać się od rządu może. Człowiek zaś, który chciał być pośrednikiem i twórcą kompromisu, z właściwości swych osobistych nie był zdolny do przedstawiania dążeń narodu, ale gdyby nawet był innym, nie mógłby ich objąć i zrozumieć w należytej mierze tej różnorodności interesów i pragnień, niewyjaśnionych, nie określonych, nawet nieuświadomionych dostatecznie.

W takich warunkach każda próba kompromisu musi być skazaną na niepowodzenie, nie zdoła zadowolnić żadnej strony. Wielopolski miał przynajmniej stanowisko określone, ci, co dzisiaj w ślady jego iść pragną, w obecnym układzie stosunków nie mogą znaleźć dla siebie miejsca. Gdyby nawet rząd godził się w zasadzie na pewne ulgi i ustępstwa, to niewątpliwie chciałby wiedzieć, czy za tę cenę zjedna sobie Polaków. A o tem ugodowcy nasi nie poinformują go, bo sami nie wiedzą i wiedzieć nie mogą. Najlepszym dowodem są pisane przez nich memoryały o potrzebach kraju, memoryały, w których na pierwszym planie postawiono... obowiązkowe zniesienie służebności.

Każda ugoda, a więc i ugoda polityczna musi być zawartą na warunkach określonych, wymaga więc możności stanowienia lub przynajmniej rozprawiania swobodnego o tych warunkach, a następnie rękojmi pewnych, że będą dotrzymane. Jest ona zawsze wymianą usług, tymczasem w tej kombinacyi, którą nam mentorowie polityczni w rodzaju p. Koźmiana zalecają, mogą być tylko z jednej strony łaski, z drugiej nieokreślone przyrzeczenia. W rezultacie takie niejasne stanowisko stron obu zawsze daje powód do nieporozumień i nikogo nie zadawalnia. I w rozprawach dziennikarskich o tej kwestyi widzimy z jednej strony obietnice, bez żadnej rękojmi, z drugiej przyrzeczenia, chociażby w dobrej wierze dawane, ale za których spełnienie nikt poręczyć nie może. Takie dyskusye, nie mające podstawy realnej, bałamucą zarówno opinię polską, jak rosyjską.

Rząd rosyjski zrobi nam ustępstwa, jeżeli uzna, że są one dla niego potrzebne, albo jeżeli będzie do nich zmuszonym. Trudno z wszelką pewnością powiedzieć, czy uważa dziś, że jakakolwiek zmiana w stosunku dwóch narodów jest dla interesów Rosyi pożądaną. Jeżeli tak sprawa stoi, otrzymamy pewne ulgi, nie prosząc i nie starając się o nie i wyzyskamy, o ile potrafimy, to wszystko, co dać może jakaś zmiana w sposobie rządzenia. A otrzymamy tym więcej, im silniej uwydatnimy nasze stanowisko, wrogie rządowi, ma się rozumieć, w przypuszczeniu, że pragnie nas sobie zjednać lub niechęć naszą osłabić. Wątpimy wszakże, żeby tego rodzaju zmiana polityczna istniała dziś już w zamiarach rządu lub bodaj nastąpiła w bliskiej przyszłości. Prędzej i pewniej możemy zmusić rząd rosyjski do wyrzeczenia się lub przynajmniej do złagodzenia tego systemu politycznego, który względem nas stosuje. Słowo »zmusić« wywołuje w wyobraźni polityków trzeźwych i rozsądnych widma powstania zbrojnego lub zamachów terorystycznych, zastrzegamy więc, że nie mamy na myśli środków tak radykalnych i bezpośrednio działających. Są inne, pośrednie sposoby wywierania przymusu i nakłaniania rządu do zmian politycznych. Nie wynurzenia wiernopoddańcze, ale raczej liczne w ostatnich latach objawy agitacyi patryotycznej, zwłaszcza wśród ludu, a następnie ogłaszanie dowodów barbarzyńskich okrucieństw i gwałtów, dokonywanych przez przedstawicieli polityki rządu — zwróciły uwagę władzy i opinii rosyjskiej na sprawę polską i na propozycye, dotychczas lekceważone, naszych ugodowców. Powinni więc ci panowie poczekać jeszcze trochę i nie śpieszyć się tak bardzo z regulowaniem służebności i wogóle z załatwianiem na ryzyko przyszłości i honoru narodu swoich interesów osobistych lub klasowych, dopóki zmiana warunków politycznych nie wytworzy gruntu dla ich działalności. Wtedy rokowania ugodowe będą przynajmniej porządnym targiem, kiedy dzisiaj są komicznemi oświadczynami afektów — bez wzajemności lub wymianą zdań bez celu.

OŚWIATA LUDU W GALICYI.

I. „Szkoła ludowa“.

(Ciąg dalszy).

Nad wszystkiemi innemi zadaniami, jakie statut Towarzystwa »Szkoły ludowej« zastrzega i na nie nakłada, góruje jedna, zasadnicza, przewodnia myśl: ochrony ludu polskiego w zaborze austryackim od zatraty i wynarodowienia wszędzie tam, gdzie mu to niebezpieczeństwo grozić może. Dlatego to właśnie zakresem działania instytucyi objęto w ogóle »lud polski w państwie austryackiem«, nie ograniczając go na samą Galicyę. »Wszędzie, gdzie w Austryi polska szkoła istnieje lub istnieć powinna, — czytamy w pierwszem dorocznem sprawozdaniu Zarządu głównego, — działać może i powinno nasze Towarzystwo, — szczególnie zaś tam, gdzie dziatwie polskiej grozi wynarodowienie w szkole, nauczającej w obcym języku, a ludność polska musi staczać ciężką walkę o byt narodowy, — »Szkoła ludowa« powinna stanąć i da Bóg, stanie do apelu«.. »Ten rzeczywiście narodowy, na wskroś polski charakter naszego Towarzystwa, wkłada na nie szczególnie wielkie i ciężkie obowiązki, ale przyczynił się też niewątpliwie w wysokim stopniu do zjednania mu niezwykłej sympatyi«....

Niebezpieczeństwo wynarodowienia nie jest bynajmniej widmem urojonem. Grozi ono ludowi naszemu nie od dziś, poważnie, z dwóch stron równocześnie.

Z zachodu i wschodu od szeregu lat wżerają się w nasz organizm narodowy i toczą go żywioły obce, powoli, ale stale, odrywając od niego cząstkę po cząstce. Fakt powstania Towarzystwa »Szkoły ludowej« sam przez się, z ogólno-narodowego stanowiska jest faktem doniosłym, bo zwrócił odrazu uwagę społeczeństwa i otworzył mu oczy na tę lekceważoną, lub raczej niedostrzeżoną dotąd tragedyę cichego, bez protestu, systematycznego obumierania mas całych na kresach, wchłanianych przez ufne w obojętność naszą, więc coraz śmielej w zaborczych swych zapędach posuwające się obce organizmy. Z chwilą, gdy spadła zasłona i nagi stan rzeczy przedstawił się w całej swej grozie, powołanie do życia instytucyi. pragnącej przeciwdziałać na lud polski skierowanym zalewom, było przebudzeniem się naszego instynktu samozachowawczego, a popieranie Towarzystwa »Szkoły ludowej« i dbanie o jego jak najsilniejszy rozwój, powinno być jednym z dogmatów naszej narodowej wiary. „I rzeczywiście dziś, po roku istnienia — mówił przewodniczący Towarzystwa dr. Adam Asnyk na Zgromadzeniu 1893 roku w Krakowie, — wyda się nawet dziwnem i niezrozumiałem, że wcześniej u nas podobna instytucya nie powstała, kiedy narody znacznie potężniejsze i mogące w swoim zakresie państwowym rozporządzać olbrzymiemi środkami na cele edukacyjne, mimo to od dawna posiadają takie instytucye, nadzwyczaj bogato wyposażone... Nie było dotąd Towarzystwa, któreby miało na celu wziąć w opiekę i obronę nasz język i narodowość wszędzie, gdzie tylko tego potrzeba. A mamy przecież całe pogranicza, kresy polskości, na które działalność Towarzystwa ogromny wpływ wywrzeć może, mamy Śląsk, Bukowinę, co więcej, mamy nawet na Rusi kolonie mazurskie, które przez długie zaniedbanie, przez brak szkół, których same nie mogły dla siebie postawić, zmuszone są posyłać dzieci do szkół ruskich i ulegać tym sposobem powolnemu wynarodowieniu. Więc ogrom i zakres działania Towarzystwa »Szkoły ludowej«, pożyteczność jego widoczna jest, jak na dłoni«....

Poznajmy nieprzyjaciela, spojrzmy mu w oczy. Przed laty szesnastu Niemcy w Austryi stworzyli t. zw. *Schulverein*, rzekomo dla obrony zagrożonego (!) ich stanu posiadania, w rzeczywistości zaś, jak to dziś już dowodnie stwierdzono, w celu wpijania swych zaborczych szponów w narodowości słowiańskie, z którerni żywioł germański pośrednio lub bezpośrednio się styka, stopniowego uszczęśliwiania ich »wyższą« kulturą niemiecką i rozszerzania w ten niewinny sposób etnograficznych granic nienasyconego w podbojach *Vaterlandu*. Osławiony niemiecki *Drang nach Osten* otrzymał widoczny wyraz w *Schulvereinie*, który przedewszystkiem zwrócił swe ostrze przeciw Czechom, ci jednak w lot poczuli, czem to pachnie, i odrazu przeciwstawili Niemcom swą »Macierz szkolną«. Rozpoczęła się niekrwawa i niegłośna, ale niemniej zawzięta walka szkołami o każdą piędź ziemi. Milionami rozporządzał *Schulverein*, toż do milionowej cyfry doszły wnet zasoby *Maticy* czeskiej. *Schulverein* wśród rdzennej, czeskiej ludności zakładał ochronki niemieckie, szkoły ludowe i gimnazya, — Czesi nie pozostając w tyle, czynili to samo, piękne odpłacali nadobnem, budowali gimnazya, całe swe kresy zarzucili siecią czeskich szkół i ochronek. Pobratymcy nasi w obronie swej narodowości do prawdziwego mistrzowstwa doprowadzili, wrogów wprawili w zdumienie i rozpacz, a nam dali niezbity dowód, że niema na świecie tak piekielnej mocy, iżby się jej skutecznie oprzeć nie mógł naród, nawet słabszy liczebnie, ale położenia swego świadom, jednomyślny, ofiarny. Dziś, po latach zaledwie szesnastu, widownia kulturalnego boju Czechów z Niemcami zmieniła się nie do poznania na korzyść pierwszych.

Niezgnębiona żywotność słowiańskiego, rzekomo niżej pod względem cywilizacyjnym stojącego żywiołu, okazała się u Czechów w całej pełni. *Matice Skolska* wydziera tysiące i dziesiątki tysięcy dziatwy czeskiej z paszczy germanizmu, a uporawszy się zwycięzko w własnym domu z wrogiem, podtrzymywana z niesłychanym zapałem przez cały naród, który słusznie widzi w niej jeden z najpotężniejszych środków odrodzenia swego, w naturalnym rozwoju rozpiera się po za granice kraju i rozszerza swą działalność stopniowo na Śląsk i Morawy. — a *Schulverein* tymczasem, ten kolos, do niedawna zdawało się niezwalczony, mimo największych wysiłków powoli ze wstydem ustępować musi z nieprawnie zdobytych placówek i do tego już doszło, że na ostatniem zgromadzeniu delegatów, odbytem w Bernie morawskiem b. r. urzędownie zatrąbiono do odwrotu i powzięto rozpaczliwemi frazesami upiększoną uchwałę, że w obec zmniejszających się stale dochodów Towarzystwa, przedewszystkiem zaniechać trzeba dalszego zakładania szkół i ochronek, a nawet zwijać kolejno »mniej żywotne« zakłady, ponieważ siły instytucyi są już za słabe, choćby tylko do utrzymania się przy dotychczasowych zdobyczach...

Ale nietylko Czechów otacza *Schulverein* swojemi względami, darzy on troskliwą pamięcią i innych Słowian w Austryi, a niezapomniał też o nas, Polakach.

»Dla opieki rodzinnego życia niemieckiego w Galicyi i niemieckich zwyczajów, dla podtrzymania naszych ciężko uciskanych (!) rodaków«, — utworzyła się w Białej osobna grupa miejscowa *Schulvereinu*, licząca kilkuset członków, a z szczególną hojnością przez wiedeński zarząd centralny wspierana jako ważna ekspozytura zakusów germanizacyjnych w naszym kraju. Pod bezpośrednim nadzorem tejże grupy pozostaje założona przed kilku laty i stale utrzymywana przez *Schulverein* niemiecka pięcioklasowa szkoła w Lipniku pod Białą. Uczęszcza do niej przeszło czterysta dzieci polskich robotników i włościan z samego Lipnika i gmin sąsiednich: Komorowic, Kóz, Bestwiny, Łękawic. Ponieważ Biała, mimo że jest miastem rdzennie polskiem i leży w Galicyi, nie posiada dotąd — ze wstydem wyznać to trzeba, — ani jednej polskiej szkoły ludowej, przeto dziatwa nasza niemczy się w szkole lipnickiej tem snadniej, że doznaje tam, głównie dzięki gorliwym staraniom kobiet niemieckich, wszelkich możliwych ulg i ułatwień. Nie mniejszym zapałem w przeprowadzaniu tego »cywilizacyjnego« dzieła odznaczają się też nauczyciele, pobierając oprócz zwykłych płac osobne nagrody za energiczne wpajanie w serca polskiej dziatwy niemieckiego ducha i sposobu myślenia. Bialskie koło *Schulvereinu* rządzi się u nas jak szara gęś, a nie poprzestając na dotychczasowych wynikach swej pracy, myśli już o założeniu podobnych szkół niemieckich w samej Białej, nadto w Dziedzicach i Żywcu. Pomysłów tych na razie jeszcze nie urzeczywistniono.

Lud polski na Śląsku odbiera również namacalne dowody czułej opieki germańskich cywilizatorów i stosunkowo większe jeszcze ma do załatwienia z nimi rachunki, niż Galicya. *Schulverein* utrzymuje własnym kosztem między innemi: w Opawie ogród frebłowski o trzech oddziałach i pięcioklasową szkołę ludową, dwuklasową szkołę w Klimkowcach (Königsberg), ogro-

dek freblowski z ochronką we Frysztacie. Subwencyonuje nadto stale szkoły ludowe w Aleksandrowicach i Międzyrzeczu górnem (Ober-Kurzwald) w powiecie bielskim, w Hradcu śląskim, Boguminie, Frydku i Jelenicach (Hirschdorf), a w ostatnich z wymienionych gmin osobno szkołę przemysłową. Tyle wiadomo z urzędowych sprawozdań Towarzystwa, rokrocznie ogłaszanych drukiem. Nie wchodzą tu w rachubę rozliczne inne formy działania *Schulvereinu*, o których w publicznych sprawozdaniach nie zwykło się wspominać, jak zapomogi dawane nauczycielom, wypróbowanym w germanizowaniu dziatwy, stypendya dla pilniejszych i rokujących lepsze nadzieje uczniów, jednorazowe zasiłki na budowę szkół, wspieranie czytelni niemieckich i t. p.

Szczegóły powyższe mogą dać do pewnego stopnia wyobrażenie o zajadłości, z jaką Niemcy na lud nasz kresowy czychają. Kwestyi żadnej nie ulega, że w germańskiej tresurze, jaką zakłady *Schulvereinu* w celu z góry wytkniętym uprawiają, dziatwa nasza w zachodnich powiatach galicyjskich i na Śląsku musi stopniowo zatracać język polski, obyczaje rodzime i stawać się z czasem własnemu narodowi obcą. Wprawdzie walka z Czechami, jak zaznaczyliśmy poprzednio, znacznie osłabiła siły *Schulvereinu* i na razie powstrzymała skutecznie zapędy jego w kierunku ekstensywnego działania; mimo to wszakże niebezpieczeństwo z tej strony nie przestało być groźne, bo najpierw germanizacyjna, na szerokie rozmiary podjęta akcya, która chwilowo omdlewa, może niebawem z podwójną siłą wystąpić, w miarę, jak w narodzie niemieckim, przyzwyczajonym do zaborów, obudzi się świeży zapał dla instytucyi, która treść jego rzekomej misyi kulturalnej uosabia, powtóre zaś dlatego, że gdyby nawet można było nie obawiać się w najbliższej przyszłości dalszych postępów zarazy niemczenia, to i tak wyłomy dotychczas na kresach naszych zrobione, usilnej i energicznej wymagają pracy, aby, co zaniedbano, naprawić i raz na zawsze ubezpieczyć wałem ochronnym zachodnie pogranicze, najbardziej wystawione na zalew wrogich nam żywiołów.

Ale i z drugiej strony, od wschodu, nad naszym horyzontem narodowym poważne gromadzą się chmury. Rzecz przedstawia się tu nieco inaczej, mamy bowiem do czynienia z żywiołem nie obcym, a bratnim, nie wrogim, bo wiekową dolą i niedolą z nami złączonym i jedną ziemię wspólnie zamieszkującym, — a jednak od dłuższego czasu działającym faktycznie na szkodę naszą. Tem donioślejszem dla obu stron jest otwarte, przedmiotowe wyświetlenie prawdziwych podstaw wzajemnego stosunku

Narzekania i skargi, jakie Rusini galicyjscy oddawna systematycznie, konsekwentnie i głośno podnoszą w prasie, na zgromadzeniach i w Sejmie na krzywdy swe i upośledzenie we wszystkich niemal dziedzinach społeczno narodowego i politycznego życia, wyrobiły w nas mimowoli skłonność do brania tych nieustannych żalów za dobrą monetę, do uznawania z góry ich słuszności, do ślepej w prawdomówność ich wiary.

Nie myślimy bynajmniej twierdzić, że położenie Rusinów jako narodu, jest w Galicyi idealne. Przeciwnie, chętnie i szczerze przyznajemy, że niejedno z ich żądań, dotąd nie spełnionych, ma istotną podstawę i racyę bytu usprawiedliwioną. Oceniając jednak stan rzeczy takim, jakim jest, trudno nie podnieść stwierdzonego zresztą ponad wszelką wątpliwość faktu, że ruska ludność w kraju naszym posiada co najmniej tyle i takich samych warunków możliwie wszechstronnego rozwoju zapewnionych, co polska, a pod niektórymi względami, — i to głównie, jak się zdaje, dzięki atmosferze, wytworzonej skutecznym systemem ciągłych narzekań — dziś już nawet cieszą się Rusini z większych zdobyczy kulturalnych, niż my Polacy. Wystarczy wskazać choćby tylko na szybkie postępy ruskiego szkolnictwa ludowego, choć przypomnieć, że przeciętnie na sto polskich przypada w Galicyi sto siedm i więcej szkół ludowych ruskich, pomimo, że ludność polska liczy z górą półczwarta miliona głów, a ruska zaledwie dwa miliony ośmkroć.

Frazes o wynarodowianiu i polszczeniu Rusinów, jeżeli kiedykolwiek dawniej, a i to wątpliwa, był choć trochę lub pozornie zbliżony do prawdy, w naszych czasach jest wierutnym fałszem, który tylko zła wola lub kompletna nieznajomość stosunków dyktować może. Zupełnie co innego jest prawdą: nie my Rusinów, ale Rusini nas wynaradawiają od dłuższego czasu w Galicyi i ruszczą za pomocą cerkwi i szkół.

Stwierdzenie tego wcale nie pożądanego objawu, na który zasłaniała nam przez długie lata oczy wrodzona łatwowierność polska i uprzedzająca z naszej strony wobec Rusinów powolność, mamy znowu w znacznej mierze do zawdzięczenia powstaniu Towarzystwa Szkoły ludowej i wywołanemu przez nie większemu zainteresowaniu się kresami. Niemało też przyczyniła się do rozjaśnienia błędnych poglądów wydana przez zarząd główny Towarzystwa praca *Jiła* p. t. „*Stosunki narodowościowe w Galicyi wschodniej*“. Autor, opierając się na sumiennem zestawieniu urzędowych cyfr statystycznych, ograniczył się na razie tylko do terytoryalnego obrębu rz. k. archidyecezyi lwowskiej i wydobył na jaw szczegóły, w które tu dla braku miejsca wchodzić nie możemy, na myśl o których jednak włosy jeżą się na głowie. Groźne *memento* zawiera ta książka dla nas, wyjawiając opłakany stan mnogich, prastarych osad mazurskich, rozsianych po Rusi, które bezpowrotnie wynarodowiają się i ruszczą, ze wszech stron zalewane ruskim żywiołem, a pozbawione kościoła, szkół i wszelkiej w ogóle opieki.

Zarząd główny Towarzystwa Szkoły ludowej, ogłaszając tę pracę drukiem, nietylko spełnił swój obowiązek, ale oddał też rzetelną przysługę społeczeństwu, wskazał bowiem utajone dotąd źródło złego i »drażliwej« kwestyi dotknął umiejętnie, poważnie, bez żadnej niechęci do tych, którzy nam w tym wypadku bezsprzeczną wyrządzają szkodę. Zgrzytnęły wprawdzie po pojawieniu się »Stosunków narodowościowych« organy prasy ruskiej, mieniące się *russkiemi*, i co zresztą było do przewidzenia, w naukowo traktowanej książce koniecznie dopatrzyć się chciały »intrygi polskiej«, czychającej na ruski »stan posiadania« Były to wszakże odosobnione głosy i musiały umilknąć wkrótce wobec niewątpliwej powagi cyfr, z urzędowej statystyki zaczerpniętych. Inteligentny ogół społeczeństwa ruskiego zrozumiał cel książki i wobec szczerej intencyi jej wydawców, zachował się z godnością. Z naszego stanowiska, wyrażając autorowi uznanie za doniosłą jego pracę, życzylibyśmy i pragnęli doczekać się w niedługim czasie koniecznie jej uzupełnienia. Jesteśmy głęboko przekonani, że to na zgodne pożycie obu bratnich narodów w kraju naszym szkodliwego wpływu wywrzeć nie może. Przeciwnie, tylko jasne prostowanie kwestyi. wzajemne uznanie obustronnych praw do narodowego życia i rozwoju, wzajemna ochrona tych praw, zbliży nas do siebie łacniej i ściślemi węzłami na przyszłość stokroć silniej złączy, aniżeli faryzeuszowskie obełgiwania się wzajemne i chytre wywodzenie w pole. Wszelka nieszczerość w publicznem życiu miewa skutki fatalne, niepotrzebnie jątrzy, mar-

nuje siły, usposabia wrogo. Zasada *clara pacta claros faciunt amicos*, jak między ludźmi, tak między narodami, których jednaka jest niewola i cele jednakie, powinna kierować nami w stosunku do Rusinów i odwrotnie... Zagrożone kresy wytknęły jasną i prostą drogę działania Towarzystwu Szkoły ludowej, które wypisało na swoim sztandarze przedewszystkiem: ochronę polskości. Zarząd główny Towarzystwa poszedł tą drogą.

(C. d. n.)

Zawisza.

POLITYKA POLSKA WOBEC NAWAŁY PRUSKIEJ.

Kilka uwag ogólnych.

Zaprzątnąwszy sobie całkiem umysły sporami i rostrząsaniami, dotyczącemi drobnych potrzeb chwili bieżącej, zatracamy częstokroć plan ogólny politycznego działania. Z większą, niż gdziekolwiek i kiedykolwiek, słusznością można to powiedzieć o polityce naszej w zaborze pruskim, która straciła całkiem szersze widnokręgi. Sądzę też, iż nie będzie bez pożytku, gdy podzielę się z czytelnikami garścią myśli ogólniejszych, dość jednak ściśle związanych z najżywotniejszemi zagadnieniami naszej polityki, ażeby ich nie uważać za materyał do akademickiej dysputy.

Jeżeli dotychczasowe stanowisko przedstawicielstwa polskiego w parlamencie niemieckim nie ma stać się swego rodzaju unikatem w kronikach życia publicznego krajów cywilizowanych, musi ono uledz stanowczej i zupełnej zmianie. Rozbrat, który nastąpił między polityką urzędowych sfer poselskich a opinią niezależną w zaborze pruskim pogłębia się z dniem każdym; a wszak opinia zależna, jakiekolwiek są powody i formy tej zależności, opinią nie jest i w bilans narodowy wchodzić może jedynie, jako czynnik materyalny, w żadnym zaś razie, jako siła moralna. Nie dość na tem: w sprawach każdego zaboru, o ile sprawy te sięgają po za czysto miejscowe interesy, głos ma i mieć powinna niezależna opinia wszystkich dzielnic. Z tego stanowiska zejść nam nie wolno, jeżeli nie przestaliśmy jeszcze być narodem i nie chcemy oddawać dobrowolnie losów tej kolebki Polski na łaskę i niełaskę ślepoty politycznej urzędowego jej przedstawicielstwa. Opinia zaś innych dzielnic, w całości niemal wypowiedziała się zdawna i niedwuznacznie.

To wielkie ogólno-narodowe *votum* nieufności coraz donośniej, coraz wyraźniej rozbrzmiewać powinno, chociaż każdego, co zna potęgę jednego zgodnego głosu wobec obcych rozdźwięk taki kosztować musi; głos ten niby zgodny, stał się dziś cichym trwożliwym szeptem, który w fałszywym akordzie łączy skargę z wynurzeniem lojalnych uczuć.

Opozycya Jego Cesarskiej Mości!.. w kraju w którym mocodawcy tej opozycyi traktowani są, jako żywioł, pozbawiony wszelkich praw obywatelskich, a naród, którego odłam stanowią, jako pozbawiony prawa do bytu i przyszłości! Gromy losu są niczem w porównaniu z ironią losu.

Stan obecny przedłużać można tylko za cenę zupełnej utraty wpływu i znaczenia polskiego w Niemczech, a pośrednio i w świecie cywilizowanym. Nigdy dotąd mniej się z nami nie liczono, nigdy głosy, podnoszone w imieniu praw ludności polskiej, nie były słuchane z taką obojętnością, z takiem znudzeniem, z taką pogardliwą ironią. Poprostu jesteśmy uważani, jako żywioł, który nawet szkodliwym być nie może.

Gdyby Koło Polskie w Berlinie nie przyznawało sobie samowolnie zwierzchnictwa niejako nad całą dzielnicą, sięgnąłoby zdawna po siły nowe, młode duchem, odradzające cherlawy i zużyty w politycznem samolubstwie jego organizm. Ale nie, krokami wręcz przeciwnymi dowodzi ono coraz silniej, że niczego już od niego spodziewać się nie można. Stało się partyą klasową, koteryą i pozbawiło się dobrowolnie względów, jakie każdej reprezentacyi *narodowej*, choćby błądzącej, przynależą.

W podobnych warunkach największym błędem krystalizującej się opozycyi byłoby stosowanie do rozkładowych pierwiastków panujących takiej właśnie taktyki, jaką te z tak marnym skutkiem wobec systemu pruskiego praktykują. W obu wypadkach nie jest to kwestya taktyki, ale zasadniczego stanowiska, nie wyżebrania ustępstw, ale zmuszenia do cofnięcia się wobec następującej z niewzruszoną systematycznością społecznej i moralnej siły.

Właściwy program polityczny w walce z nawałą pruską zredukowano u nas niemal do wskazań taktycznych. Jakiegokolwiek planu ogólnego kampanii narodowej, zarówno wewnętrznej, do własnego społeczeństwa zwróconej, jak i zewnętrznej, napróżno od lat wielu wyglądamy i taktyka ugodowa ma go zastąpić.

Niewątpliwie w życiu publicznem o zdobyczach, o zwycięztwach więcej nieraz decyduje charakter wystąpień i prowadzonej akcyi, niż sam program. Zachodzi tu taki stosunek, jak między wolą a wyrozumowanym planem. Chociaż pierwsza przeważnie od drugiego zależy, przedstawić sobie jednak można taki nawet typ człowieka, o jakim Talleyrand powiedział: *„il ne sait pas ce qu'il veut, mais, sapristi, il le veut bien!“* — I człowiek taki, czy stronnictwo, które nie wie, czego chce, skoro chcieć umie, może coś zrobić, może coś osiągnąć ze swych nieokreślonych pragnień. Taktyka, pozbawiona charakteru i energii, wolą nawet nie jest, a kto pożądania tylko czuje, a żądań stawiać nie potrafi, nie będzie nigdy polityczną siłą. A takiem jest nasze przedstawicielstwo w Berlinie.

Rząd pruski dążeń naszych ani pragnień podzielać nie może, dobrowolnie nic nam nie da, to pewna, ale możemy zmusić naród niemiecki do tego, żeby nie lekceważył naszych praw i aspiracyi, żeby, widząc w nas nawet wrogów, szanował nas tak, jak się godnych siebie przeciwników szanuje, żeby czuł w nas tę siłę charakteru którą sam niezaprzeczenie posiada. Wtedy zyskamy odrazu przewagę moralną, przewagę cywilizacyjnych naszych dążeń nad średniowieczną, napoły azyatycką, junkierską duszą Prusaków.

Koło wręcz odwrotne zajęło stanowisko: wmawia w rząd pruski mniemany jego interes w wymierzeniu sprawiedliwości Polakom, od lat całych licytuje samo *in minus* swoją polityczną ofertę, a równocześnie zdradza taki brak charakteru, tak nizki poziom godności narodowej, tak słabe tętno ogólno-ludzkich cywilizacyjnych dążeń, że w narodzie niemieckim szacunku nawet dla słusznej sprawy wzbudzić nie jest w stanie. Na tak przygotowanym gruncie żaden program rozwinąć się nie może.

»Naród, powiada cytowany często w parlamencie Bluntschli, nie inaczej praw swych dochodzi, jak czynami, cierpieniem i walką«. Kto się czynu boi, kto się od cierpień osobistych okupuje publiczną ofiarą, zamiast okupywać zwycięztwa cierpieniem, kto niby walczy, nie

chcąc, czy nie umiejąc szkodzić, ten niech nie staje w roli rzecznika narodu, o którym świat mówił niegdyś — *„ecce Natio“!*

Są to wady zbyt organiczne i głębokie, aby niemi krytyka wstrząsnąć mogła, zbyt fatalne dla losów naszej dzielnicy, aby je czczem zbyć narzekaniem. Chciałoby się raczej zastosować tu przysłowie, *„de mortuis nil nisi bene“*, i przejść w nowy okres pozytywnej, energicznej akcyi, którą tylko rodzące się stronnictwo ludowe podjąć jest w stanie. Chwilom tych narodzin towarzyszyć powinny jaknajliczniejsze głosy opinii niezależnej w sprawie nowej, odrodzonej polityki narodowej w zaborze pruskim.

Najżywotniejsze, najpotężniejsze programy wyrastają samorzutnie z instynktu, z temperamentu warstw młodych, zdrowych i silnych, które bez mandatu tradycyi, bez tytułu, własnym porywem parte do czynu, biorą na swe barki zadania publiczne narodu. Warstwy podobne są w pruskim zaborze, ale tak zahypnotyzowane przewagą autorytetów, tak zahukane przez obcych i swoich, tak nieświadome swej politycznej siły, że budzić je dopiero trzeba, zdejmować bielmo z oczu, ośmielać, przekonywać, rozumować. Rozumujmy więc: czy inne stanowisko przedstawicielstwa naszego, inne postawienie kwestyi polskiej wobec Niemiec, inna taktyka nakoniec, nie polepszą naszego położenia ogólnego?

Najprzód jedna uwaga wstępna, dla oczyszczenia zbyt zagmatwanego gruntu naszej polityki. Żądania, bardzo szczupłe i łatwe same w sobie do osiągnięcia, stawiać i zdobywać można tylko w krajach, gdzie istnieje rzeczywista wolność polityczna. W Niemczech niema jej dla nikogo, a już najmniej dla nas. Sprowadzając cały niemal program do tych skromnych pożądań, nadaje im się niejako znaczenie symboliczne, znaczenie faktów, na punkcie których ustępstwo równałoby się w oczach rządu »uwzględnieniu żądań Polaków«, tym bardziej, gdy się stale rozlegają zapewnienia, że więcej niczego nie pragniemy. — »To są wszystkie wasze żądania? — No, gdybyśmy wam dali wszystko czego chcecie, skapitulowalibyśmy moralnie przed wami«. — Tak musi, jeżeli nie rozumować, to czuć rząd niemiecki. Otóż, gdzie niema swobód politycznych, tam zdobywa się drobne piędzi terenu tylko mimochodem, tylko wtedy, kiedy się o nie bezpośrednio nie stacza walnych bitew, kiedy się z otrzymanych ustępstw nie kwituje, ale bije ciągle w określony całokształt praw autonomicznych. Wtedy rząd robi ustępstwa nie »dla Polaków«, ale dla zapewnienia *sobie* względnego spokoju, dla ustrzeżenia, »zdrowych jeszcze owieczek« od opozycyjnej zarazy. Naturę grubą dotkliwym tylko bólem poruszyć można, ale nie łaskotaniem, budzącem tyleż niesmaku, co i lekceważenia.

Co się tyczy określonych poszczególnych punktów programu, charakteru akcyi i taktyki, stanowisko ogólnopolskiej narodowej polityki w zgoła odmiennem przedstawi je świetle, niż stanowisko dotychczasowej rutyny.

Przedewszystkiem przedstawicielstwo polskie w zaborze pruskim winno moralnie reprezentować cały naród, a nie jedną tylko dzielnicę, a tym mniej jedną jej warstwę. Stanowisko takie nie da się ująć w żadną formułę postępowania, ale przebijać się musi w każdem słowie, w każdem stawianiu kwestyi, a w głosie każdego posła czuć się powinno przedewszystkiem tętno duszy Polaka, dla którego obrona danego prawa jest tylko epizodem w walce o całość.

W parlamentach nikt jeszcze nikogo nie przekonał, porwać mógł tylko wtedy, kiedy ich wspólny poruszał instynkt, ale z głosem masy, z głosem narodu liczono się zawsze. Dla Prus, czy dla Rosyi część Polski, jako prowincya, nigdy ani siłą międzynarodową, ani groźbą nawewnątrz nie będzie.

Jeżeli się nas obawiają, to jako jednolitego narodu, który »kwestyę międzynarodową« w sobie nosi. Istnienie narodu polskiego jest faktem; konstytucya czy administracya może fakt ten ograniczać za pomocą całego szeregu praw, ale solidarności narodowej, myśli wspólnej, kultury jednolitej żaden kodeks, nawet rosyjski nie obejmie. Dopóki zachowujemy *legalność*, nikt niema prawa o *lojalność* naszą się się pytać, bośmy jej dobrowolnie na siebie nie przyjęli; a lojalność tę wręcz i stanowczo wygrodzić sobie należy. Niegdyś przedstawicielstwo nasze w Wiedniu i Berlinie na tym gruncie stało i wtedy, jeżeli głos jego nie był uwzględniany, co by dziwnem zaiste było żądaniem, to go słuchano, szanowano i liczono się z tą siłą opinii, która za nim stała.

Czyż można rzeczywiście wymagać od Niemców, aby brali w jakąkolwiek polityczną rachubę Koło Polskie, o którem wiedzą doskonale, że nietylko nie stoi za niem cały naród, od którego się dobrowolnie odcięło, ale nawet własne warstwy ludowe, których interesy i potrzeby sprowadziło do swego własnego minimum. Że takie a nie inne zajęło stanowisko, za to wyłączna odpowiedzialność na nie spada, ale że w podobnych warunkach niczego dokonać nie jest w stanie, z tego już zarzutu robić mu nie można.

Od dawna, od bardzo już dawna nie słyszeliśmy w parlamencie takiego głosu polskiego, któryby wstrząsnął duszą narodu, któryby powtarzano nad Wisłą, nad Niemnem i Dniestrem, jako wyraz tego, co wszyscy czują, a czego wszyscy wypowiedzieć nie mogą, któryby się odezwał w najdalszych zakątkach siedzib polskich śród niemczyzny. A takiego echa czujniej w parlamentach słuchają, niż potwierdzeń traktatów rozbiorowych. Rząd nie dlatego odrzucił tę wyciąganą rękę zgody, z dłonią do góry zwróconą, żeby miał niedowierzać szczerości oferty, ale dlatego, iż wiedział dobrze, że za nią masy ludu nie stoją i nigdy nie staną.

Wielkim błędem polityki naszej w zaborze pruskim było usuwanie się zasadnicze i praktyczne od spraw wewnętrznych Niemiec. Nie można przecież poczytywać za czynny udział w tych sprawach obrony wyznaniowej obok ryczałtowego popierania wniosków rządowych, jak gdyby potęga rządu należała do punktów programowych polityki narodowej polskiej. Skoro nas zrobiono przymusowo poddanymi obcego państwa, niechże to państwo ponosi konieczne tego następstwa: że będziemy korzystali z praw obywateli niemieckich, w najszerszem, pełnem tego słowa znaczeniu, że będziemy rzucali zaczyn fermentu wszędy gdzie sprawa swobód, autonomii, równości praw i walki z centralną samowolą w grę wchodzi. Dla Niemców jedno powinno być logicznym wynikiem drugiego: *„wer sagt A., muss auch B. sagen“*. Ograniczanie swej interwencyi do spraw, które nas bezpośrednio dotyczą, spycha Koło do roli frakcyi lokalnej, a równa się przyjęciu z góry czysto odpornej taktyki, wykluczającej wszelkie najście na terytoryum przeciwnika. Sztuka wojskowa, która tyle podobieństw z politvką przedstawia, dawno taką dogmatyczną taktykę potępiła. Nietylko w Poznańskiem praw naszych dochodzić musimy, ale w Wirtembergii i w Hanowerze, w Bawaryi i w Szlezwigu, w Alzacyi i wszędzie, gdzie są żywioły, którym równie, jak nam, cięży uzurpacya pruska, centralizm jej rządów i rozlew junkierstwa na

prowincye, w których przechowuje się jeszcze humanitarna cywilizacya.

Fałszywem z gruntu byłoby stanowisko Polaków zasadniczo opozycyjne wobec całych Niemiec i ich zjednoczonego państwa: stanowczym i bezwzględnym wrogiem naszym są tylko Prusy, z właściwym ich charakterowi systemem, od którego brutalności cierpią całe rdzenne Niemcy, ich cywilizacya, ich wolność i tradycye. Zadaniem Polaków, obywateli państwa niemieckiego, jest wystawienie wyraźne i głośne programu rozszerzenia autonomii i samorządu państw niegdyś zwierzchniczych, decentralizacyi Prus, oraz stopniowego wprowadzania Niemiec na drogę federalizmu. Hasła te Polacy z większą śmiałością, z większą stanowczością rzucać mogą z trybuny w masy niemieckiego ludu, bo płyną one z ich narodowych instynktów i tradycyi, z mózgów nie olśnionych Sedanami i Bismarkiem, ale mocno przeświadczonych o tem, że służyć tu będą sprawie cywilizacyi europejskiej, przyszłości Niemiec i swej własnej zarazem. Sprzymierzeńców naturalnych na tem polu nie zabraknie, co ważniejsza, będzie ich coraz więcej: południowo-niemieckie stronnictwo ludowe jest nową, wzrastającą siłą, która ogarniać będzie coraz dalsze kręgi lokalnego życia prowincyi, dławionych przez centralizm pruski. Równocześnie prowadzona walka o postęp i cywilizacyę, o prawa klas pracujących, słowem o idee raczej, niż o interesy, zapewni nam wpływ i posłuch oraz stanowisko poczesne śród stronnictw niemieckich. Dobijać się praw dla ludności polskiej, a zarazem wzmacniać konserwatyzm niemiecki i reakcyę rządową, jest to polityka, zmierzająca pewnym krokiem do narażenia sobie wszystkich, a szczególniej najzdrowszych, najlepszych żywiołów w Niemczech.

Dwa tylko stronnictwa zachowują przychylne wobec nas stanowisko: Centrum widzi w nas sojuszników wyznaniowych, którzy wspólnie z nimi znieśli na swych barkach czasy *Kulturkampfu*. Ale dziś dawna walka o wolność sumienia stała się walką o wpływ wyznania, które jedną ręką polskość, a drugą germanizm szerzy; ta druga ręka staje nam się przez to zasadniczo wrogą. Okruchami tradycyi przymierza się nie wyżywi, kiedy teraźniejszość kłam mu zadaje.

Jedynem stronnictwem, które zasadniczo, wyraźnie uznaje w nas naród i to naród, mający w przyszłości ogólno-ludzkie, cywilizacyjne zadania do spełnienia, jest socyalna demokracya. Stosunku jej do Polski o partyjną interesowność posądzić nie można, gdyż głos swój za nią podnosiła wtedy, kiedy w przedstawicielstwie polskiem miała tylko zasadniczych przeciwników. W partyi robotniczej niemieckiej znajdzie stronnictwo ludowe polskie naturalnych sprzymierzeńców, zarówno w walce o prawa narodowe i o dobro warstw upośledzonych, jak i w polityce międzynarodowej. Kto przyszłością żyć pragnie, musi w prądach przyszłości szukać oparcia.

Niewątpliwie polityka taka, chociaż niejednokrotnie już zalecana, napotka na całe zasieki przesądów i uprzedzeń. Rząd pruski przesądów niema, nie mają ich i Niemcy poznańscy, to też w kaszy zjadają naszych polityków, którzy zdawna już przesądami tylko żyją. Może czas byłby brać oręż tam, gdzie się go znajduje, bo że w tych przymierzach na moralności politycznej nic nie stracimy, przyzna chyba każdy, komu okres dworskiego patryotyzmu cięży plamą na sumieniu narodowem.

Wspominaliśmy już wyżej, że jedną z przyczyn słabości i bezradności Koła jest fakt, że między niem a masami polskiego ludu nietylko niema stosunku, którymby przedstawicielstwem nazwać można, ale zgoła żadnego łącznika, żadnych niemal punktów stycznych, żadnej pracy wspólnej. Z jednej strony wytrwała, masowa oporność ludu przeciwko wynaradawianiu, coraz liczniejsze próby organizowania akcyi społecznej przeciwko zwartej natarczywości przeciwnika, z drugiej pusta reprezentacya interesów stanowych, politykowanie gabinetowe na własną rękę i sztuczne narzucanie swych bezdźwięcznych haseł obcej im duchem ludności. Taki rozdział, taki rozdźwięk pomiędzy akcyą społeczeństwa, nie ujętą w żaden plan, w żadną politykę, świadomą celów i środków — a akcyą parlamentarną oderwanej garstki, pozbawionej wszelkiej siły, wszelkiego realnego gruntu, obezwładnia nietylko ostatnią, co byłoby złem mniejszem, ale paraliżuje również pierwszą.

Czy wyzyskano u nas prawo o stowarzyszeniach, prawo o zgromadzeniach, celem rozwinięcia szerokiej działalności kulturalnej, społecznej oraz narodowej? Znanym jest fakt, że stowarzyszenia polskie w państwie niemieckiem, czy specyalne, czy tak zwanych przemysłowców, czy młodzieży, mając względną przynajmniej wolność ruchów, wyznaczają sobie bardzo wązki zakres działania, rozwijają się słabo i nie dochodzą nigdy niemal do tej normy, którą z ustawami pogodzić można, nie mówiąc już o tem, żeby miały się stać rozsadnikami polskości i ducha narodowego, ogniskami światła i energii. Bojaźń nieokreślona przed wszelką interwencyą władz, obawa wszystkiego, co nie jest rutyną, bierność jakaś niepojęta owładnęła tymi naturalnymi posterunkami zorganizowanej akcyi społeczeństwa.

Zły przykład idzie z góry. Brak wszelkiej odwagi cywilnej śród przedstawicielstwa parlamentarnego sparaliżował umysły i wolę. Zbyt przywykło społeczeństwo uważać je za konwencyonalny wyraz swych dążeń, dostroiło się do jego poziomu i obniżyło charakter całej dzielnicy. Sumiennie powiedzieć można, że Koło tytularnych wybrańców politycznych nietylko w niczem nie podniosło żywotności narodowej ogółu, nie przyczyniło się do rozbudzenia świadomej, uplanowanej akcyi samego społeczeństwa, ale podcięło mu skrzydła, oderwało duszę, zwyrodziło charakter.

W naszem położeniu codziennej, nieustannej walki o byt narodowy, ten tylko powinien piastować godność politycznego przedstawiciela, kto rzeczywiście przoduje społeczeństwu w walce pozaparlamentarnej, kto sam przyczynił się do wydobycia z uśpienia tej siły, którą ma reprezentować. Każdy poseł polski powinien być agitatorem w walce narodowej, organizatorem sił społecznych, bojownikiem praw ludu, ale nie figurantem, nie dyplomatycznym agentem do stronniczych konszachtów. Nie mówiąc już o faktach skandalicznych, jak stawianie kandydatur ludzi, składających równocześnie oferty komisyi kolonizacyjnej, jak może wogóle kierować sprawami narodowemi człowiek, który nic dla tych spraw nie zrobił nic nie dał społeczeństwu, ale tylko zgodził się być narzędziem w ręku kół panujących. Ze strony ostatnich jest to pozowanie na jakiś rząd *„in partibus infidelium“*, który rekrutuje sobie podwładne organy, mające służyć jego własnym, a nie ogólnym interesom. Taki rząd tylko w państwach i to w państwach autokratycznych utrzymać się może, bo ma za sobą, w braku siły poparcia, siłę przemocy. Ale tu panowanie podobne tylko biernością ogółu da się wytłómaczyć. Rozbudzenie samodzielnej akcyi społeczeństwa, wprowadzenie w stan czynny mas ludowych położy kres temu samoprzedstawicielstwu i wysunie na

czoło narodu tych, co rzeczywiście przodować będą w jego życiu.

Wejście na tory polityki czysto narodowej nadaje jej inny punkt wychodni i szerszą terytoryalnie podstawę działania. Na miejsce zaanektowanej prowincyi, której prawa określać mają stare traktaty, staje odłam *narodu*, który czuje w sobie tyle praw, ile mu ich do normalnego rozwoju potrzeba, a sięga tam, gdzie tylko istnieją jednoplemienne i solidarne z nim żywioły. Niemcy lubią się podawać za »państwo narodowe«. My zasadzie tej przyklasnąć tylko możemy, zastrzegając sobie wyprowadzenie politycznych ztąd konsekwencyi. Jeżeli tak jest rzeczywiście, niemiecka przewaga państwowa może sięgać tylko tak daleko, jak sięga naród niemiecki; poza nim, choćby w łamach jednego państwa, jest tylko miejsce dla autonomii narodu polskiego. Bo jedno z dwojga — albo zakres państwa decyduje o granicach narodu (co jest historycznym i społecznym bezsensem), wtedy państwo jest sztucznym, wymuszonym zlepkiem na modłę rosyjską; albo naród, ta przyrodzona formacya dziejowa, określa granice państwa, wtedy my w jego łonie stanowimy wytwór nienaturalny, który dotąd będzie psuł harmonię całości, dopóki zupełna autonomia nie usunie jego odrębności w dziedzinę samorządu. Dziś mniemane »państwo narodowe« jest pustym dźwiękiem, który tak się ma do cesarstwa niemieckiego, jak *desideratum* do rzeczywistości. Niemcy są w gruncie rzeczy państwem pruskiem, rozpostartem na wszystkie niepruskie żywioły, a te, również jak my, do swego rzeczywiście narodowego rozwoju potrzebują samorządu i wolności.

W imię tej zasady podporządkowania form państwowych gruntowi narodowemu, praca nasza kulturalna i jedność akcyi politycznej winny się rozpostrzeć bez zastrzeżeń, głośno i jawnie, na Śląsk, na Mazurów Pruskich, na wszystkie kolonie polskie śród niemczyzny. Wciśnięci w ramki obcych naszym potrzebom form politycznych, występować musimy i występujemy wobec Niemców, jako polskie stronnictwo: otóż dla granic stronnictwa nie może być w państwie cywilizowanem żadnych ograniczeń, prócz solidarności interesów i dążeń.

Takim byłby w pobieżnym zarysie charakter naszej polityki narodowej w zaborze pruskim, nie z gruntu stronniczego, ale z tradycyi walk narodowych, z ogólnopolskiego stanowiska płynący. Do opinii niezależnej miejscowych kół czynnych należy poddanie pojedyńczych punktów krytyce i nakreślenie całej praktycznej podstawy nowego stronnictwa. Ale pod grozą ostatecznego rozprzężenia przystąpić trzeba do organizowania akcyi ratunkowej, nietylko wobec nawały pruskiej, ale i wobec wewnętrznych rozkładowych żywiołów, które przyszłość narodową podcinają u podstaw.

Bartosz Ostoja.

Z CAŁEJ POLSKI.

Liga demokratyczna w zaborze pruskim. Wichrzenia ks. Stojałowskiego i zachowanie się wobec nich prasy zachowawczej. Artykuł *Berliner Tageblattu,* jako zapowiedź nowych srodków rusyfikacyjnych.

Sprawa organizacyi stronnictwa demokratycznego w zaborze pruskim wchodzi, zdaje się, na dobrą drogę. W społeczeństwie, w którem działalność polityczna, nawet ze szkodą innych dziedzin życia, niemal całkowicie pochłania uwagę ogółu, wszelka praca publiczna musi być zorganizowaną, tymbardziej jeżeli chce wywierać wpływ na szerokie koła ludzi. Zrozumiał tę konieczność *Przegląd poznański*, organ inteligencyi demokratycznej, czyli inaczej »Młodej Polski« i wystąpił z odpowiednim projektem. Istnieje właściwie w Poznańskiem zorganizowane stronnictwo demokratyczne, t. zw. »ruch ludowy«, którego twórcą, kierownikiem i publicystą jest redaktor *Orędownika*, p. Szymański. Stronnictwo ruchu ludowego działa bardzo energicznie i zdobywa coraz szerszy zakres wpływu nietylko w Wielkopolsce, ale i w innych ziemiach polskich pod panowaniem pruskiem. Oddziaływanie jego pośrednie na Śląsk i Prusy Zachodnie widocznem jest już dzisiaj w prasie miejscowej. Ale to stronnictwo obejmuje niemal wyłącznie warstwy średnie, do których w zaborze pruskim należą kupcy, drobni przemysłowcy, rzemieślnicy, zamożni włościanie i t. p. Nie gromadzi ono prawie wcale w szeregach swoich inteligencyi, której odłam, wyznający zasady demokratyczne i postępowe skupia się koło *Przeglądu poznańskiego*.

Przegląd powstał w chwili największego zaognienia walki między świeżo zorganizowanym ruchem ludowym a stronnictwem »ładu i porządku«, zwłaszcza jego odłamem ugodowym. Inteligencya demokratyczna wahała się w wyborze dróg i środków działania, nie chciała i nie mogła zespolić się ściśle z ruchem ludowym, za słabą była, za mało miała wpływu i doświadczenia żeby, wystąpić samodzielnie. Zresztą najpilniejszem i najwłaściwszem jej zadaniem była krytyka istniejących kierunków politycznych, wyświetlanie spraw i stosunków fatalnie pogmatwanych i z umysłu przedstawianych lub wskutek rutyny pojmowanych fałszywie. W tym względzie *Przegląd poznański* w krótkim okresie swego istnienia zdziałał dużo w warunkach bardzo trudnych. Były w tej robocie przygotowawczej błędy, których zresztą niepodobna w tego rodzaju działalności ustrzedz się zupełnie, ostatecznie inteligencya demokratyczna wyjaśniła sobie swoje zadania i stanowisko i obecnie wejść zamierza w okres pracy pozytywnej.

Oddawna już organ ruchu ludowego zachęcał ją do wzięcia bezpośredniego udziału w pracach publicznych, w działalności politycznej we właściwem znaczeniu. Złączenie luźnej grupy inteligencyi ze stronnictwem zorganizowanem przedstawiało jednak pewne niedogodności praktyczne, być może zresztą, że jakkolwiek istnieje porozumienie między »Młodą Polską« i »ruchem ludowym«, nie jest ono dostatecznem. Wymienione i inne jeszcze zapewne powody skłoniły *Przegląd poznański* do wystąpienia z odezwą do postępowej inteligencyi, żeby zorganizowała się jako stronnictwo pod nazwą »ligi demokratycznej«. Dopiero owa liga, jako odrębna a równorzędna organizacya może zawrzeć na określonych warunkach sojusz ze stronnictwem ruchu ludowego i wspólnie z niem działać. Obie strony zyskają na tem niewątpliwie, bo ruchowi ludowemu potrzeba już dziś sił inteligentnych, a postępowcom poznańskim — bezpośredniego zetknięcia się z życiem politycznem i z szerokiemi warstwami ludności. Naturalnie sojusz taki, przyuczywszy oba odłamy działać łącznie, wyrównawszy istniejące między nimi różnice, doprowadzić je powinien do zlania się w jedną całość.

Sprawa wyborów w powiecie świeckim, o której pisaliśmy w numerze poprzednim, wykazuje konieczność ścisłej organizacyi stronnictwa demokratycznego. Wyborcy przyjmują kandydata, którego im z góry narzucono, którego przekonania polityczne nie zgadzają się z ich przekonaniami, przyjmują bez protestu, bo nie są ani uświadomieni należycie, ani przyuczeni do samo-

dzielnego i solidarnego działania. A ów kandydat na pytanie, czy jest ugodowcem, odpowiada publicznie, że nie uznaje żadnych partyi, głosować zaś będzie tak, jak postanowi większość Koła. Takie oświadczenie dowodzi albo wielkiej naiwności politycznej albo złej wiary i lekceważenia wyborców. Ci jednak biorą je za dobrą monetę, bo dotychczasowa praktyka polityczna zrobiła z nich bierne narzędzia do głosowania.

Słusznie powiada w liście do *Przeglądu poznańskiego* dr. J..: »Obecna cisza polityczna i obecna nieśmiałość partyi klerykalno konserwatywnej jest tylko pozorną. Tam z niczego nie zrezygnowali i przy pierwszej lepszej okazyi politycznej ujrzymy ich znowu w pełnym rynsztunku, z dawnym programem i dawnym absolutyzmem. Czy wiecie, co ks. arcybiskup Stablewski wygłosił w Śremie o »wspólnem działaniu państwa z kościołem katolickim«? To, co się już dzisiaj dzieje na Śląsku i w Prusiech Zachodnich, dziać się może niezadługo w Księstwie, symptomy tego niebezpieczeństwa mnożą się z dnia na dzień i w całej akcyi stronnictwa ugodowego coraz wyraźniej Rzym się odzywa. Powtarza się historyczna tragedya ojczyzny naszej... Więc trzeba nam raz wreszcie zabrać się do rozgraniczenia interesów narodu od interesów kościoła, trzeba zerwać z hasłem, że »sprawy narodowe rozpatrywać należy jedynie przez pryzmat katolicyzmu«, trzeba przedstawicieli elastycznego kierunku ugody usunąć od wpływów demoralizujących i przez zdrowy ruch demokratyczny odświeżyć całe życie zaboru pruskiego.«

Fakt, że w społeczeństwie wielkopolskiem usłyszyć dziś można takie głosy, świadczy, że odświeżanie życia już się tam zaczęło i szybko postępuje. Organizacya stronnictwa demokratycznego powinna proces ten przyśpieszyć a zarazem rozszerzyć zakres swego działania i zwrócić szczególną uwagę na masę ludową, na ogół włościan, na proletaryat miejski i wiejski, bo dotychczas miano na względzie tylko inteligencyę i warstwy średnie.

Podówczas, gdy w Wielkopolsce stronnictwo demokratyczne zespalać się zaczyna i organizować, w Galicyi widzimy wyraźne usiłowanie rozbicia zwartego dotychczas, młodego stronnictwa ludowego. Ks. Stojałowski zaniechał niemal zupełnie walki ze stańczykami i z biskupami, zapomniał o hr. Badenim, o którym poprzednio rozpisywał się szeroko w każdym numerze swoich gazetek i z właściwą mu, gorączkową energią i zawziętością walczy ze stronnictwem ludowem a jednocześnie wysławia Rosyę. Wspominaliśmy już o tem poprzednio, obecnie zaznaczyć musimy, że sam ks. Stojałowski wyraźnie określił stanowisko swoje i wystąpił jako zdecydowany zwolennik Rosyi. W liście, przysłanym do *Nowej Reformy* powiada, że »nauczony doświadczeniem porzucił politykę prowokacyjną względem Rosyi i wstąpił na drogę szukania *modus vivendi*«. Wydrwiwszy dążności patryotyczne w sposób, przypominający dawniejsze pisaniny socyalistów-kosmopolitów, ks. Stojałowski dodaje:

»Ja głośno i otwarcie powtarzać nie przestanę tego, co zresztą sami Niemcy niejednokrotnie już powiedzieli w parlamencie, że lepszy i uczciwszy jest absolutyzm otwarty, niż absolutyzm upstrzony martwemi literami konstytucyi, lepszy niż polskie rządy w Galicyi, które już i w Austryi weszły w przysłowie.«

W ostatnim numerze swego *Wieńca* opisuje przepych koronacyi i potęgę Mikołaja II, wobec której wydaje się drobnostką potęga cesarzy rzymskich i Napoleona i zachwyca się pobożnością cara.

„*Obok tej potęgi, tem bardziej budującem być musi, gdy ten potężny władca korzy się przed Bogiem*, pości surowo przez kilka dni przed koronacyą, obchodzi wszystkie cerkwie Moskwy, całuje obrazy Matki Bożej i przystępuje do spowiedzi. *Okrzyczane przez polskich patryotów prawosławie, lepsze jest od liberalno-masońskiej niewiary*, od zapierania się chrześciaństwa. Manifest koronacyjny Mikołaja II t. j. pismo carskie, w którem ogłasza łaski, dane poddanym z powodu koronacyi, zawiera też tyle, że zapewne jeszcze *żaden z monarchów tak hojnym się nie okazał*.“

Pisma zachowawcze, nietylko *Czas*, ale nawet te, które odznaczają się zazwyczaj patryotyzmem krzykliwym, rade, że ks. Stojałowski napada na stronnictwo ludowe, milczą prawie zupełnie o tem apoteozowaniu Rosyi, a przecie tego rodzaju agitacya może okazać się bardzo szkodliwą, bo chociaż wielu włościan opuszcza ks. Stojałowskiego, ma on jeszcze wpływ dosyć znaczny na najniższe, najmniej uświadomione warstwy ludu. Co dziwniejsza, pisma zachowawcze nie wspominają wcale o tem, że ks. Stojałowski nic sobie nie robi z interdyktu i publicznie ogłasza, że codziennie odprawia msze w mieszkaniach prywatnych na różne intencye. Nie trzeba lepszego dowodu na to, że religia i patryotyzm są dla zachowawców naszych tylko płaszczykiem, który zrzucić gotowi, jeżeli ich interes tego wymaga. Ks. Stojałowski jest im potrzebny jako narzędzie do rozbijania stronnictwa ludowego, wybaczają mu więc łaskawie do czasu jawną apostazyę narodową i religijną.

Niedawno *Berliner Tageblatt* zamieścił znamienną korespondencyę z Petersburga, którą poniżej prawie dosłownie przytaczamy:

»Stanowisko, jakie zajęła prasa polska wobec uroczystości koronacyjnych w Moskwie — pisze ów dziennik — daje prasie rosyjskiej powód do gorzkich rekryminacyi. W dniu koronacyi ani jeden z warszawskich polskich dzienników nie uważał za stosowne poświęcić tej uroczystości kilku słów, natomiast pełno w nich było artykułów o sprawach angielskich, francuskich i austryackich. Naturalnie, że żaden z polskich dzienników nie wysłał korespondenta do Moskwy. Przeznaczone dla ludu pisemka i tygodniki również prawie nic nie pisały o koronacyi i nie pouczyły swych czytelników o wielkiem znaczeniu koronacyi. Z tego można widzieć, jaki wielki błąd zrobiły rosyjskie władze, polecając owe pisemka ludowe do bibliotek wiejskich, które mają być utworzone w kraju przywiślańskim.

»Co się zaś tyczy ludności, to podnieść należy, iż w Warszawie udział w uroczystościach koronacyjnych brali tylko Rosyanie i część żydów, ludność polska trzymała się na uboczu. Pojednawcza polityka hr. Szuwałowa nie wydała więc dotąd żadnych owoców i można się spodziewać, iż teraz hr. Szuwałow widząc jak społeczeństwo polskie opiera się zlaniu ze społeczeństwem rosyjskiem, porzuci swój dotychczasowy system, a wstąpi w ślady Hurki. Takie zmiany nastąpią mimowolnie same przez się; Petersburg będzie niezadowolony, jeneralny gubernator w Warszawie wskutek tego będzie nerwowy i otoczony zewsząd nieprzyjazną mu atmosferą nie będzie nikomu ufał, a gdy armia czynowników poczuje, iż gubernator ma zamiar nieco cugli przykrócić, stanie się to wkrótce, ale tak silnie, że przejdzie w znacznej mierze zamiary gubernatora. Zajmującem jest również to, że nawet w dziedzinie sztuki prasa polska nieprzychylne stanowisko zajmuje wobec sztuki rosyjskiej. Gdy trupa Sławiańskiego podczas dni koronacyjnych dawała w Warszawie koncerty, z wyjątkiem jednego pisemka

porannego, nie wspomniało o koncertach tych żadno z pism warszawskich.«

Dzienniki galicyjskie, nazywając *Berliner Tageblatt* organem hakatystów twierdzą, że cała ta korespondencya jest tylko kłamliwą denuncyacyą i przeczą podanym w niej faktom. Nie o fakty w danym wypadku chodzi, chociaż dla dokładności zaznaczyć trzeba, że korespondencya, mówiąc o zachowaniu się prasy polskiej, powtarza zdanie *Warszawskiego Dniewnika*, *Pietierburgskich* i *Moskowskich Wiedomosti*, a o szkodliwości pism polskich w bibliotekach ludowych i o trupie Sławiańskiego przepisuje niemal dosłownie, co pisało o tem *Nowoje Wremia*. W artykule dziennika berlińskiego główny punkt stanowi zapowiedź, że hr. Szuwałow będzie musiał wstąpić w ślady Hurki, ponieważ jego polityka pojednawcza nie wydała owoców. *Berliner Tageblatt* jest, jak wiadomo, na żołdzie rządu rosyjskiego, który w tem piśmie zamieszcza wiadomości, że tak powiem, ćwierćurzędowe. Zarówno artykuły wpływowych dzienników rosyjskich, jak i przytoczona wyżej korespondencya mają, zdaniem naszem, na celu objaśnienie i usprawiedliwienie wobec opinii publicznej nowych zarządzeń rusyfikacyjnych, o których charakterze daje pojęcie treść memoryału generał-gubernatora kijowskiego. Czy na razie rząd pójdzie tak daleko — odgadnąć trudno, w każdym razie nie myśli o zmianie systemu, którą zapowiadali nasi ugodowcy. Polityka pojednawcza hr. Szuwałowa była równie zawziętą w rusyfikacyi, jak polityka Hurki, używała tylko środków łagodniejszych i do czasu koronacyi łaskawie pozwalała łudzić się naiwnym. Po koronacyi wszelkie względy są zbyteczne i rząd może wrócić do dawnych środków, a nawet pójść dalej.

Zachowanie się prasy polskiej, która zresztą spełniła wszystkie wymagane formy przyzwoitości wiernopoddańczej, nie miałoby żadnego wpływu na postępowanie rządu, gdyby jakiekolwiek ulgi dać nam zamierzał. Uznanie działalności Pobiedonoscewa, z którego rad Mikołaj II »jak najdłużej pragnąłby korzystać«, nadanie wysokiego orderu Orżewskiemu i t. p. fakty świadczą, że rząd nie myśli wcale o zmianie polityki względem Polaków, a obdarzenie hr. Szuwałowa najwyższym orderem św. Andrzeja i godnością członka rady państwa wskazuje, że znakomicie on odegrał przeznaczoną mu rolę. Obchód uroczystości koronacyjnych w »kraju nadwiślańskim« tak dobrze się udał, że nawet *Warszawskij Dniewnik* jest zadowolony i sarka tylko na prasę, a matactwa ugodowe zbałamuciły wielu ludzi i osłabiły, bo zdezorganizowały w pewnej mierze siłę odporną społeczeństwa polskiego. *J. L. Jastrzębiec.*

Z ZABORU ROSYJSKIEGO.

Warszawa 6 czerwca.

Po uroczystościach moskiewskich. Stanowisko społeczeństwa polskiego wobec carskiej koronacyi. Zachowanie się prasy. Odezwy przedkoronacyjne. Echa polityki ugodowej. Mowa rabina. „Prawdziwy Polak" w *Warsz. Dniewniku.*

Uroczystości tedy moskiewskie skończyły się, a na pochwałę ich można powiedzieć, że rozmaitość wrażeń, które po nich zostały, jest wielka. Niesłychana pompa, na jaką się wysadzono, pierwszy swego rodzaju zjazd przedstawicieli mocarstw europejskich i azyatyckich, zabawy, katastrofa na polu Chodyńskiem, trzy tysiące trupów, duszenie się wzajemne, mordowanie, później obdzieranie ofiar, potem znowu zabawy ludowe i bale dworskie, rozruchy ludowe w Moskwie i Petersburgu, mordowanie ludu przez policyę i policyi przez lud, napaść na posła tureckiego w pociągu, okradnięcie jednego z książąt niemieckich na kolei, i znów zabawy, iluminacye, uczty ludowe po całem państwie i t. d., i t. d. Czy można sobie wyobrazić większą obfitość programu?... Państwo carów dało ciekawe przedstawienie, w ciągu krótkiego czasu stało się mnóstwo rzeczy, o których społeczeństwo nasze może powiedzieć: *quorum pars magna fui...*

Istotnie, uroczystości koronacyjne w naszym kraju odbywały się też z niezwykłą okazałością, z taką, na jaką tylko mogła się zdobyć... policya. Użyła ona wszelkich środków, ażeby wycisnąć z mieszkańców jak najwięcej wiernopoddańczego entuzyazmu, zmusić ich do wywieszenia jak największej ilości flag, wytopienia jak najwięcej łoju na kagańce, żeby zebrać jak najwięcej jadła, a zwłaszcza napoju dla tłumu najbiedniejszych, którzy zawsze chętnie się najedzą i napiją, choćby im sam dyabeł ucztę zastawił. I u nas w Warszawie urządzono na polu Mokotowskiem ucztę dla ludu, i kazano być na niej gospodarzami... lekarzom cyrkułowym. Postanowiono dać zgromadzonemu ludowi jeść i pić oraz wywołać u niego odpowiedni do chwili zapał. Pierwsze w części się udało, z drugiem wypadło *fiasco*. Gdy kierujący częstowaniem, zdaje się, lekarz miejski nalał pierwszy kubek i wygłosiwszy natchniony toast na cześć pary cesarskiej, krzyknął: »hurra!«, nikt mu nie odpowiedział. Ludek milczał; to mu jednak nie przeszkodziło rzucić się do stołów, zmieść wszystko, co było przygotowane, i zabrać się w głównej masie do domu, zanim się objęte programem zabawy zaczęły. Była stąd konsternacya wielka śród przedstawicieli władzy i postanowiono sprawę tego toastu zachować w tajemnicy, obawiając się kary na policyę za to, że nie umiała podnieść do należytej wysokości uczuć ludu.

Warszawa wyglądała świątecznie, wystrojona na rozkaz Wszyscy mieszkańcy mieli polecone z nadejściem wieczoru wystawiać w oknach zapalone świece. Wielu tego nie zrobiło, mnóstwo domów było ciemnych, ale zato w dzielnicy nalewkowskiej, dobrowolne manifestacye lojalne były niezliczone, żydkowie tamtejsi silili się, by jak największą zwrócić uwagę na swe domy rzęsistą iluminacyą, transparentami i t. p. Wogóle żydkowie warszawscy, jak cały ogół ich współwyznawców, są, zdaje się, najszczerszymi i najgorętszymi »ugodowcami«.

Jak się zachowało nasze społeczeństwo wobec koronacyi młodego cara, o tem, naturalnie, sądzić nie można z owych urzędowych objawów radości. Parę łokci trójkolorowego perkalu i parę funtów łoju — to ofiara, którą się z musu składa na ołtarzu »ojczyzny«, tej »szerszej«, rozumie się. To są objawy, wystarczające wyłącznie prasie urzędowej do sprawozdań o udziale ludności w carskiem święcie. Nie można też o usposobieniu ogółu sądzić z zachowania się prasy, bo ta ma swoją policyę w postaci cenzury. Dobra wola co najwyżej może jej dyktować pewną ilościową wstrzemięźliwość w pisaniu o uroczystościach, co też w pewnej mierze uczyniono. To dało powód dziennikom rosyjskim do nowej napaści na naszą prasę, której poczytały za zbrodnię, że starała się jak najmniej o koronacyi pisać. Zamiast takich denuncyacyi panowie ci lepiejby postarali się żeby zreformowano w Warszawie cenzurę: prasa polska, mogąc swobodniej swe zdanie wypowiadać, więcejby o wszystkiem pisała.

Po za tem, jako świadectwo naszego stanowiska wobec koronacyi, mogą służyć tylko deputacye do Moskwy, o ile były dobrowolne. i okolicznościowa literatura nielegalna. O pierwszych pisaliśmy już — wiadomo, kto pojechał i od kogo. Co do ostatnich, to mieliśmy przed koronacyą aż trzy odezwy, z tych jedną socyalistyczną. Z pozostałych dwóch

jedna, niewielka wzywała do biernego zachowania się wobec uroczystości, w drugiej zaś dość długiej wystąpiono nader ostro przeciw polityce ugodowej i wezwano lud do walki przeciw rządowi. Datowana »Warszawa, w maju 1896 r.« i napisana dość przystępnie, widocznie przeznaczona jest ta odezwa dla szerokich mas publiczności. Odezwy te widocznie rozeszły się w znacznej liczbie egzemplarzy, w wielu bowiem miejscach można się było z niemi spotkać. Prócz tego ukazała się tu krótka broszura, zatytułowana »Na koronacyę Mikołaja II«, również datowana z Warszawy. Rzecz to wymierzona przeciw obecnej polityce ugodowej, ale pochodząca widocznie od ludzi, którzy na jej miejsce nic nie mają siły postawić. Jest to ciekawy dokument, charakteryzujący nastrój pewnych sfer naszego społeczeństwa, brzydzących się polityką ugodową, ale zarazem skłonnych do pewnej dyplomacyi bez należytego gruntu pod nogami. Są to sfery mogące się zdobyć co najwyżej na skargę, bardzo piękną, bardzo humanitarnym ożywioną duchem, ale w swej impotencyi politycznej jednego śmielszego kroku niezdolne postawić. Mają ci ludzie widocznie jeden cel: walczyć z dzisiejszą polityką ugodową — ale nie rozumieją, że kto chce skutecznie walczyć, ten obok negacyi, musi coś dodatniego wskazać, około czego uczciwi i dążący do czegoś lepszego ludzie mogliby się grupować.

Tymczasem »ugodowcy« nasi mogą się cieszyć rezultatami swej polityki. Od rządu wprawdzie nic nie otrzymali ani dla narodu, ani nawet jeszcze dla siebie, ale zato znajdują chętne echo śród panów »starozakonnych«. Wspominałem już o entuzyazmie koronacyjnym dzielnicy nalewkowskiej w Warszawie; nie mogę pominąć milczeniem mowy, wypowiedzianej w dzień koronacyi w płockiej synagodze przez głównego rabina płockiego, Liebschütza, czy Lipszyca. Mowa ta była wypowiedziana *po moskiewsku*. Pan rabin z zapałem biblijnego proroka wysławiał potęgę współczesnej Rosyi sypał szczodrobliwie cytatami ze starego testamentu, i jakby ku naigrawaniu się, z biednego Mikołaja II zrobił Salomona. W końcu porównał imperyum rosyjskie z carską koroną. W ostatniej jest mnóstwo drogich kamieni, ale wszystkie je ręka artysty zebrała w jedną całość. »Czyż nie przedstawia takiego samego zjawiska i wielka ziemia rosyjska? — zaludniają ją liczne ludy, rozmaitego pochodzenia, mnogie plemiona — najrozmaitszych wyznań. Ale wszystkie je zebrała tu potężna Ręka Opatrzności. wszystkie jednakowo są połączone pod berłem jedynego cara, przez odwieczne prawa historyczne. Bodajże wszystkie one z jednakową dumą mogły nazwać Rosyę swą ojczyzną, a Cara Władcę Rosyi swym ojcem i bodaj wszystkie miały obronę i moc w wielkiej koronie tronu wszechrosyjskiego! niech wzrasta ona, dopóki słońce stoi. Amen«.

Oto jest jeden z faktów, z jakimi się nie liczą wcale nasi pionierowie polityki ugodowej. Widzą oni tylko to, że ich manifestacye mogą przynieść korzyść (w ich przekonaniu), albo jej nie przynieść, ale nie myślą wcale o szkodzie, jaka z nich wypływa. Żydzi w Królestwie liczyli się z opinią polską, która surowo karciła wszelkie przypochlebianie się rządowi, bali się nas, bośmy solidarnie w podobnych wypadkach występowali. Dziś widzą, że w łonie naszego społeczeństwa znaleźli się ludzie, manifestujący swe afekty dla rządu. Kto im przeszkadza skorzystać ze sposobności, iść w ślady tamtych, licytując ich przytem zwyczajem plemiennym i posuwając się dalej w środkach. Gdy nasi »politycy« zgadzają się być wiernymi poddanymi, byle mogli swe uczucia wypowiadać po polsku, Żyd idzie dalej i wnosi do swej synagogi język moskiewski. Fakt to znamienny i wcale nie małoważny. Kwestya zachowania się Żydów wobec rządu i rusyfikacyi — to dla nas kwestya, czy 13% ludności Królestwa zachowa względne poczucie solidarności z naszem społeczeństwem. a w każdym razie liczyć się będzie ze stanowiskiem politycznem tego społeczeństwa, czy też zamieni się w jawnych zażartych naszego społeczeństwa wrogów, nietylko ekonomicznych, ale narodowych i politycznych, jak to się stało na Litwie i w Poznańskiem. Grunt dla tej drugiej możliwości przygotowuje między innemi polityka ugodowa.

Zwolennicy jej muszą być przygotowani na to, że coraz bardziej będzie im się powiększało takie niepożądane towarzystwo, w którem bardzo smutnej wartości żywioły, z najniższych częstokroć pobudek głosić będą hasła ugody. Do tych niewątpliwie należy »prawdziwy Polak«, zamieszczający w *Warsz. Dniewniku* artykuły, z których siódmy obecnie się ukazał. Tym razem zagadkowa osobistość zastanawia się nad »polskimi rządami« w Galicyi, nicuje je z zawziętością i dobrą wiarą co najmniej przyłączonego do prawosławia Rusina galicyjskiego i każe się domyślać że rosyjskie rządy w Królestwie są lepsze. Wspomniałem o tym artykule nie dlatego, żebym miał zamiar z nim polemizować, ale dlatego, że chcę ponownie podnieść kwestyę autorstwa tych elukubracyi.

Gdy *Warsz. Dniewnik* zaczął je drukować, opinia polska, poruszona, zaczęła się doszukiwać autora. Jedno z pism zakordonowych wskazało wtedy na niejakiego p. Żychlińskiego, znanego panegirystę Rosyi i caryzmu, figurę bardzo smutnej reputacyi. Na skutek przypuszczenia owego pisma ów p. Ż. został uznany za »prawdziwego Polaka«. Ja ze swej strony także zacząłem robić poszukiwania, których pierwszym rezultatem było upewnienie się, że p. Żychliński (przebywający, zdaje się, obecnie w Czechach), pomimo całych swych kwalifikacyi moralnych do podobnych rzeczy, autorem wspomnianych artykułów nie jest. Natomiast wskazano mi kogoś innego. To drugie okazało się tak trudnem do uwierzenia, iż rzecz całą zachowałem przy sobie, postanawiając jej nie ogłaszać, dopóki danych lepszych nie zdobędę. Studyowałem przedmiot dalej, między innemi uważnie odczytywałem artykuły »prawdziwego Polaka«, szukając w nich wskazówek, co do osoby autora. Wszystko to posłużyło mi do coraz większego upewnienia się, że wskazana mi osoba istotnie jest autorem artykułów w urzędowem piśmie rosyjskiem.

Przypomnę czytelnikowi, iż, zamieszczając pierwszy artykuł, redakcya *Warsz. Dniewnika* zapewniała, iż autor ich jest osobistością wybitną, za którą stoją setki tysięcy ludzi, a wkrótce staną miliony. Jest to jedno z bardzo częstych kłamstw organu »czynowników«, ale wszelkie kłamstwo ma pewne powody i pewną nić związku z rzeczywistością, która w razie potrzeby może służyć do obrony twierdzenia. Przy całej swej urzędowej bezczelności, *Warsz. Dniewnik* nie mógłby niczego podobnego powiedzieć o p. Żychlińskim, który jest zupełnie odosobnioną jednostką, zwichniętą umysłowo i wykolejoną moralnie. Ta informacya redakcyi nie może wystarczyć do posądzania kogoś innego, ale przy innych danych może dużo mówić. Niestety, dane, które posiadam, nie są jeszcze całkiem wystarczające do zdobycia ostatecznej pewności. Wstrzymałbym się też jeszcze ze wskazaniem człowieka, gdyby nie to, że własne jego postępowanie w chwili obecnej przekonywa mię ostatecznie i upoważnia do wskazania publicznie autora. Otóż, według moich informacyi i według mego głębokiego przekonania, autorem szeregu artykułów w *Warszawskim Dniewniku* p. t. »*Gołos istinnawo Poliaka*« jest ksiądz Stanisław Stojałowski z Galicyi.

Oskarżenie to jest ciężkie. Jeżeli jest fałszywe, niech ks. Stojałowski zaprzeczy, a ja w dalszym ciągu będę prowadził poszukiwania, by dojść ostatecznie prawdy i znaleźć dowody.

* * *

Warszawa 12 czerwca.

Aresztowanie Piotra Chmielowskiego. Rewizya i areszty na pensyi żeńskiej. Katastrofa na kolei Terespolskiej. Kilka słów o nowej gospodarce kolejowej.

W ciągu ostatnich lat kilku procesy polityczne, rewizye, zamykania ludzi w cytadeli stały się poniekąd chlebem powszednim naszego życia. Uważane dawniej za wypadki nadzwyczajne, dziś nikogo już nie dziwią, traktowane są, jako coś całkiem naturalnego w kolei naszego życia, i często się zdarza, iż, przyjeżdżając z Warszawy na prowincyę, przedewszystkiem się spotykamy z zapytaniem: »Cóż, jakże tam aresztowania? kogo ostatnimi czasy wzięto?...« Do wszystkiego ostatecznie można się przyzwyczaić.

Chociażbyśmy jednak do najwyższego stopnia byli otrzaskani z działaniem tutejszej żandarmeryi, trudno przyjąć za wydarzenie powszednie, czynu, którego dokonała ona dzisiejszej nocy, aresztując i zamykając w cytadeli jednego z najwybitniejszych pracowników na polu naszego współczesnego piśmiennictwa. Ofiarą zbirów padł tym razem Piotr Chmielowski.

Nie potrzebujemy rozwodzić się nad osobą aresztowanego, niema bowiem chyba człowieka jako tako wykształconego, któryby nie znał jego działalności, jego zasług dla naszej literatury, któryby nie słyszał o wielkiej monografii »Adam Mickiewicz«, nie czytał »Literatury ostatnich lat dwudziestu pięciu«, a potem »trzydziestu«, której czwarte wydanie — niezwykłe u nas zjawisko — niedawno się ukazało. Jego prace o naszych powieściopisarzach, o pisarkach polskich, o poetach współczesnych, o kobietach Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, cały szereg szkiców i studyów literackich, wszystko to ma liczną nader sferę czytelników, a mało jest pisarzy, którzyby głęboką wiedzą i niesłychaną pracowitością zdobyli sobie taką cześć i sympatyę śród szerokich mas czytającego ogółu. Niema chyba u nas człowieka, któryby tyle czytał, co Chmielowski, któryby obok tego pisał tyle, i to rzeczy gruntownych, nie mówiąc już o tem, że jednocześnie redagował *Ateneum*, *Bibliotekę najcelniejszych utworów literatury europejskiej*, brał udział w redakcyi wychodzącej obecnie »Wielkiej Encyklopedyi« i t. d. Ta namiętność, ta nieopisana żądza pracy, prowadzonej ciągle z młodzieńczym zapałem, musiały zrujnować zdrowie, poderwać siły pracownika; kilkakrotnie też rozchodziły się wieści o chorobie Chmielowskiego, wynikającej według opinii lekarzy, z wycieńczenia, wywołanego nadmierną pracą.

Pytanie teraz: co mógł uczynić ten człowiek nadającego się do żandarmskich inkwizycyi? jak przy takiej nadludzkiej pracy, zarazem naukowej, literackiej i dziennikarskiej, mógł on znaleść czas na spiskowanie?..

To, że Chmielowski nie sympatyzuje z nikczemną polityką rządu rosyjskiego na naszym gruncie, dla nikogo nie jest tajemnicą, wszyscy np. wiedzą o jego zachowaniu się przed piętnastu laty podczas obsadzania katedry literatury polskiej na uniwersytecie warszawskim. Rząd zaproponował jemu tę katedrę i on propozycyę przyjął, ale gdy zażądano, żeby wykładał po rosyjsku, Chmielowski stanowczo się temu oparł, skutkiem czego katedry nie dostał. Wiedzą to pewnie i żandarmi, bo przecież oni »wszystko« wiedzą, przynajmniej tak utrzymują. Ale można być bardzo ograniczonym żandarmem i swoją drogą rozumieć, że człowiek, wydający tyle ze siebie na polu pracy naukowej i literackiej, do konspiracyi nie może już mieć ani czasu, ani sił, ani usposobienia. Można, dając gardło pod topór, z całą pewnością twierdzić, że żaden ważny powód nie zmuszał żandarmów do zamknięcia tego człowieka w cytadeli, że aresztowanie jego — to jedno z tych licznych aresztowań, dokonanych na zasadzie jakiejś pojedyńczej poszlaki, nie zbadanej należycie, nie sprawdzonej, z aresztowań, mogących jedynie odbywać się tam, gdzie byle żandarm jest panem życia i śmierci spokojnych obywateli.

Pisząc te słowa, muszę się silić na spokój. Trudno go zachować wobec faktu, gdzie głupi policyant samowolnie ubezwładnia takiego pracownika, gdzie nadto zamykają w wilgotnych murach więziennych człowieka, będącego w ciężkiem stadyum piersiowej choroby, która w nieprzyjaznych warunkach nader szybko może kres jego życiu położyć. Dzieje się zbrodnia, wobec której nawet takie, jak rosyjska, racye stanu muszą haniebnie zamilknąć. Doprawdy, nie istnieje w Europie opinia, i nasza w sferach rządowych jest całkiem lekceważona, jeżeli podobne rzeczy dziać się mogą! Wszakże nie należy nam samym siebie lekceważyć, i prasa zakordonowa polska powinna spełnić swój obowiązek, przedstawiając fakt ten we właściwem świetle, podnosząc niesłychane nadużycie, jakjego dziś pada ofiarą nasz ogół, w osobie jednego z najbardziej zasłużonych swych członków.

Jednocześnie z aresztowaniem Chmielowskiego dokonano rewizyi w mieszkaniu i na całej pensyi pani Swołyńskiej, właścicielki wyższego zakładu naukowego żeńskiego.

U panny K., mieszkającej u p. Swołyńskiej, ale nie będącej jej pensyonarką, znaleziono broszury nielegalne, skutkiem czego właścicielkę ich aresztowano, a razem z nią zabrano i panią Swołyńską — dlaczego, to już jest tajemnicą żandarmów. Zdaje się, że chodzi o to, ażeby doprowadzić do zamknięcia pensyi, znoszenie bowiem szkół prywatnych stało się dziś dla władz jednym z najważniejszych punktów ich programu.

Naturalnie samo aresztowanie przełożonej i przetrzymanie jej chociażby krótko w zamknięciu, musi zdezorganizować szkołę i przyczynić się do jej upadku, gdyby nawet władza jej nie zamknęła.

Na kolei Terespolskiej nastąpiło wykolejenie się pociągu. Wielka ta, ze względu na ilość ofiar, katastrofa będzie niewątpliwie dokładnie w gazetach opisana, ale nie podadzą one głównej przyczyny wypadku. Już dziś można zrozumieć, że katastrofa nie jest prostym wypadkiem, ale że musiała ona nastąpić, jako nieunikniony skutek dzisiejszej gospodarki.

Od paru lat rząd, objąwszy tę kolej w posiadanie, systematycznie usuwa ze służby Polaków, a sprowadza na ich miejsce Moskali z głębi Rosyi. Przybysze ci pozajmowali wszystkie wyższe stanowiska i większość podrzędnych. Po tej reorganizacyi, która okazała się przyczyną pogrążenia w nędzy mnóstwa rodzin, korespondenci do gazet rosyjskich (naturalnie, ci sami przybysze na nowych posadach) poczęli wychwalać nowe porządki na kolei, wykazywać, ile to ona skorzystała, na zastąpieniu Polaków przez »zdolnych« Rosyan. Gazety mogą wszystko pisać, papier jest cierpliwy, ale rzeczywistość wkrótce pokazała, jaką ma wartość ta »narodowa« gospodarka. Podczas przejazdu gości na koronacyę do Moskwy, kolej Terespolska nieustannie kompromitowała się swym nieładem, brakiem organizacyi, sprawiającym, że wobec zwiększonego ruchu cała służba potraciła głowy. Na fakt, że kolej kompromituje się wobec zagranicznych gości, zwracał nawet uwagę *Warsz. Dniewnik.* Szkoda tylko, iż organ urzędowy nie był łaskaw przypomnieć, że za czasów polskiej gospodarki bywały także koronacye i nadzwyczajne przejazdy zagranicznych gości, i zarząd dawał sobie jakoś radę.

Opóźnienia pociągów na kolei stały się zjawiskiem stałem. Nie umiejąc ich uniknąć ulepszeniem organizacyi, zarząd kolei uciekł się do środka, najbardziej w Rosyi cenionego, mianowicie do kar. Maszynista za każdą minutę

spóźnienia płaci 5 kopiejek kary. Otóż w danym wypadku faktem jest, że pociąg był opóźniony, że maszynista dla uniknięcia kary, począł zwiększać szybkość ponad wszelką miarę (pasażerowie nawet zwracali na to uwagę i prosili o zwolnienie biegu, — rozumie się, bezskutecznie), wykolejenie się więc pociągu było poprostu wywołane. Z bliższymi zresztą wnioskami o przyczynach trzeba się wstrzymać do chwili, gdy będą wiadome rezultaty śledztwa.

Stosunki na kolei Terespolskiej, wytworzone przez jej rusyfikacyę, są czemś tak niezwykłem i tak oburzającem, że trzeba tylko naszego przytępienia pod wpływem ogólnego ucisku, ażeby im tak mało poświęcać uwagi.

W jednej z najbliższych korespondencyi postaram się bliżej zapoznać z nimi czytelnika, zasługują bowiem na to w zupełności. *—ski.*

Lublin 4 czerwca.

Małoletni przestępcy polityczni. Aresztowanie i inkwizycya. Świętujący lud.

Opinia tutejsza poruszona jest nowym faktem gwałtu, jakiego się dopuściły władze rosyjskie, tym razem na dzieciach.

Działo się dnia 23 maja w katedrze lubelskiej podczas katechizacacyi. Pod kierunkiem ks. Słoneckiego gromadka chłopców przygotowywała się do pierwszej spowiedzi. Niektórzy z nich spostrzegli jakieś kartki, rozrzucone po kościele, popodnosili je i zaczęli czytać lub pozabierali ze sobą. Kartki te — były to odezwy przedkoronacyjne, wzywające do powstrzymania się od uciech i uczt, przygotowywanych przez władze dla ludności ubogiej i uczniów szkół.

Nie wiem już, jakim sposobem, policya przyłapała u jednego z tych chłopców znalezioną odezwę. Drobny ten fakt miał bardzo poważne skutki. Natychmiast zaaresztowano 26 chłopców, odstawiono ich do Zamku, a u rodziców ich oraz u ks. Słoneckiego dokonano najściślejszej rewizyi. Chłopców poddano surowemu badaniu, policya bowiem nie wierzy, żeby kartki poznajdowali, i żąda od nich zeznania, kto im dał odezwy. Nie mogąc wydobyć odpowiedzi, wzięto się do *wymuszania zeznań rózgami*, udzielanemi... w obecności rodziców. Dzieci uwięzione są do tej pory w Zamku.

Nie rozwodząc się nad tym faktem, który sam za siebie mówi, przechodzę odrazu do innego rodzaju nadużycia.

W okolicach z ludnością mieszaną pod względem wyznaniowym, tam, gdzie są mniejsze lub większe ilości dawnej ludności unickiej, obecnie prawosławnej, wprowadzono ścisły dozór policyjny nad włościanami, mający na celu niedopuszczanie do tego, ażeby pracowal w polu w prawosławne dni świąteczne (nawet katolicy!), w dni galowe (!) i t. p. O ile mi się zdaje, jest to wybryk niższych organów policyi. W każdym razie ma on na celu wprowadzenie nowych zwyczajów w życie ludu, tymczasem zaś prowadzi do ostatecznego zubożenia naszych, i tak już ubogich chłopów. Ażeby dać pojęcie, do czego te nadużycia prowadzą, wskażę, iż w maju włościanie przymusowo święcili *pół miesiąca.*

Dnia 3 maja była niedziela, 5 — dzień galowy (imieniny carowej), 8 — święto uroczyste Śgo Stanisława, 9 — dzień galowy (imieniny następcy tronu), 10 — niedziela, 14 — Wniebowstąpienie Pańskie, 17 — niedziela, 18 — dzień galowy (imieniny cara), 21 — święto prawosławne, 24 i 25 — Zielone Świątki, 26 — pierwszy dzień koronacyi, 27 — drugi dzień koronacyi, 28 — trzeci dzień koronacyi, wreszcie 31 — niedziela; razem piętnaście dni. Policya ziemska pilnowała w święta prawosławne, dni galowe i koronacyjne, ażeby chłopi nie wyruszali w pole.

L. S.

Z ZABORU PRUSKIEGO.

Poznań dnia 12 czerwca.

Sprawa ks. Szadzińskiego. Przymusowe wywożenie dzieci polskich. Rozporządzenie dyrektora policyi. Dymisya p. Hasemanna.

Dzienniki hakatystowskie roztrąbiły na całe Niemcy o zuchwalstwie księdza Szadzińskiego z Witaszyc, który jakoby zapowiedział dzieciom w szkole, żeby po niemiecku pacierza nie mówiły i żeby pozdrawiały ludzi polskiem »Niech będzie pochwalony, nie zaś niemieckiem *Gott sei gelobt*, bo w przeciwnym razie nie dopuści ich do sakramentów świętych. Nauczycielowi zaś miał ów ksiądz powiedzieć, że, niemcząc dzieci, popełnia grzech śmiertelny i groził mu pomstą. Prasa niemiecka gwałtownie domagać się zaczęła ukarania księdza i wkrótce *Posener Tageblatt* zamieścił urzędowe zawiadomienie od regencyi poznańskiej, że władza szkolna odebrała ks. Szadzińskiemu dozór nad nauką religii, a konsystorz dyecezyi gnieźnieńskiej przeniósł go za karę na inną posadę. Wobec wiejących w wyższych sferach kościelnych prądów ugodowych, zwłaszcza wobec świeżego wystąpienia ks. Stablewskiego, który publicznie przemawiał »o potrzebie współdziałania duchowieństwa z rządem«, wiadomość wydała się prawdopodobną i wywołała oburzenie powszechne. Nawet bardzo umiarkowany i do zbytku ostrożny *Dziennik poznański* wyraził ubolewanie, że i »do dziedziny stosunków kościelnych wkradają się przemożne wpływy nieprzyjaciół naszych«. Dopiero po artykule *Dziennika* zjawiło się spóźnione sprostowanie, że zajście gazety niemieckie opisały przesadnie i że ks. Szadziński nie został przeniesiony, ale otrzymał dodatkowy zarząd parafii sąsiedniej, której proboszcz zmarł niedawno. Jednocześnie *Kuryer poznański* napadł na całą prasę, nie wyłączając *Dziennika*, który rozsierdził się i ostro organowi władzy kościelnej odpowiedział. Widocznie krucho być musi z polityką ugodową, kiedy *Dziennik* zdobył się na odwagę i zdecydował się na polemikę względnie ostrą.

Wykład religii w języku niemieckim uważają pedagogowie tutejsi jako najlepszy środek wynaradawiania dzieci polskich. Ofiarami tego systemu są zwykle sieroty lub dzieci rodziców, o których władza szkolna przypuszcza, że protestować nie będą. Dwaj zwłaszcza rektorowie szkół, Markus i Weymann okazują szczególną gorliwość. Pisma nasze przytoczyły już mnóstwo przykładów dowolnego zapisywania dzieci na niemiecki wykład religii, ale ani ogłaszane fakty, ani skargi rodziców nie mają żadnego wpływu na inspektora szkolnego.

O barbarzyńskiem znęcaniu się nad dziećmi polskiemi świadczy wymownie fakt następujący, który nawet pod rządem rosyjskim byłby, zdaje się, niemożliwym. Wdowa, robotnica Maryanna Reichowa, dowiedziała się przypadkowo, że trzech jej synów, 12 letniego Teodora, 8 letniego Kazimierza i 4 letniego Józefa, których miasto na swój koszt umieściło poprzednio u opiekunów, rozkazano wywieźć na wychowanie w strony niemieckie. Zrozpaczona matka prosiła o cofnięcie tego barbarzyńskiego rozkazu, ale szorstko jej odmówiono i zabrane od opiekunów dzieci umieszczono w szpitalu i następnie wysłano. Matce nie chciano powiedzieć nawet, gdzie przebywać będą chłopcy. Ojciec ich, Jan Reich pomimo niemieckiego nazwiska był Polakiem i po niemiecku nie umiał. Kiedy dwaj starsi wstąpili do szkoły, wspomniany p. Markus zapisał ich na oddział niemiecki. Chłopcy nic zrozumieć nie mogli, za co surowo ich karano, zniechęcili się więc do szkoły i często lekcye opuszczali bez wiedzy matki, która przez dzień cały zajęta pracą, dopilnować ich nie mogła. Reichowa za to, że synowie jej uciekali ze szkoły, skazaną była na 7 tygodni więzienia,

a chłopców magistrat oddał pod opiekę obcych ludzi. Po ośmiu miesiącach p. Markus, widząc, że dzieci po niemiecku nauczyć się nie mogą, podał wniosek, żeby je wysłano w strony niemieckie, a władza przychyliła się chętnie do tego okrutnego żądania.

Dawniej już pisałem o przeszkodach, które stawia policya tutejsza zapowiedzianemu na połowę sierpnia zlotowi Sokołów wielkopolskich. Wiadomość o tem, jakkolwiek pochodziła z wiarogodnego źródła, uważali niektórzy za fałszywą pogłoskę, tymbardziej, że Sokół nie dawał powodu do jakichkolwiek ograniczeń, a dyrektor policyi p. Nathusius cieszy się opinią człowieka bezstronnego. Jednakże wieść o rozporządzeniu policyi sprawdziła się w najdrobniejszych szczegółach. Oto dosłowny przekład tego dokumentu:

»Daję moje zezwolenie, aby członkowie austryacko-galicyjskiego związku Sokołów uczestniczyli w uroczystości gimnastycznej, projektowanej w dniu 15 i 16 sierpnia, jako goście, jednakże z tem nadmienieniem, że co najwyżej może przybyć pięciu i że mi co najmniej na 14 dni przed rozpoczęciem wyżej wymienionej uroczystości podanem będzie nazwisko, stan i miejsce pobytu tych osób.

Zresztą zastrzegam sobie nakaz wydalenia i to natychmiastowego, gdyby wyżej wymienieni mieli w jakikolwiek bądź sposób stać się niedogodnymi (lästig werden). Na wspólny wymarsz odmawiam swego zezwolenia, ponieważ z zebrania i z wykonania publicznego pochodu mogłoby wyniknąć niebezpieczeństwo dla porządku publicznego.

Udzielenie poświadczenia o doniesieniu (zameldowaniu) w myśl prawa o stowarzyszeniach z dnia 11 marca 1850 r. nie może dotąd nastąpić, ponieważ dotychczas nie podano miejsca i czasu, odnoszącego się do zabrania, tylko doniesienie czasu, odnoszącego się do publicznego pochodu.

Podpisano: *v. Nathusius.*«

Cały ten zakaz, a zwłaszcza pierwszy ustęp jego, dotyczący gości galicyjskich, jest bezprawiem niepraktykowanem. Policya pruska nie może zabronić pobytu w Poznaniu obywatelom państwa austryackiego, posiadającym należyte legitymacye. Ma się rozumieć, bez względu na powyższe i możliwe inne rozporządzenia, zlot się odbędzie, chociaż bez pochodu przez miasto, i goście z Galicyi pośpieszą licznie do Poznania, — ale z paszportami.

Goniec wielkopolski nawołuje do uroczystego obchodzenia dwóchsetnej rocznicy zgonu Jana Sobieskiego. Obchody narodowe w naszej dzielnicy mogłyby i powinny mieć większe niż dotychczas znaczenie. Jeżeli w Galicyi święcenie różnych rocznic stało się zbyt częstem i dlatego spowszedniało, to u nas każde przypomnienie przeszłości, minionej chwały i potęgi, każde zaświadczenie zbiorowe i publiczne, że jesteśmy i chcemy być Polakami, jest ze wszech miar pożądanem. Poco drażnić Niemców — mówią niektórzy — i ściągać na siebie podejrzenia, i bez uroczystości narodowych będziemy Polakami. Zdaje mi się, z większą słusznością możnaby powiedzieć, że właśnie nasza potulność rozzuchwala Niemców.

Głośny inspektor szkolny śmigielski, p. Hasemann, z którego śmiesznego listu, podał dawniej *Przegląd wszechpolski* ciekawsze wyjątki, jak przypuszczaliśmy, musiał ustąpić z posady. Niby to nie dano mu dymisyi, ale sam prosił o nią, wiadomo jednak, co to znaczy. *J. M.*

Prusy Zachodnie 8 czerwca.

Wybory. Wiec w Świeciu. Mowa pp. Jaworskiego i Parczewskiego. Niesłuszna napaść na p. Kulerskiego. Prawybory w okręgu starogardzko-czczewsko-kościerzyńskim. Zjazd delegatów towarzystw rolniczych. Dobra wiadomość. Skazanie redaktora.

Prawie jednocześnie odbędą się w dwóch okręgach wybory posłów w porze dla nas niewłaściwej, bo znaczna część ludności wiejskiej rozeszła się za zarobkiem. W okręgu świeckim w d. 25 czerwca wybierać będziemy posła do parlamentu, zaś w kilka dni później — w okręgu starogardzko-czczewsko-kościerzyńskim posła do sejmu. W obu okręgach, dotychczas przez Niemców przedstawianych, kandydaci nasi mają widoki zwycięztwa.

Jeżeli w okręgu świeckim przejdzie p. Jaworski, będzie dwudziestym posłem w polskim parlamencie. A przejść powinien, bo na 80.000 ludn. tego okręgu wypada 43—44.000 Polaków. Niemcy popierać będą wybór p. Holtza, dotychczasowego posła, którego mandat z powodu nadużyć, dokonanych przy wyborach przed trzema laty, teraz dopiero unieważniono. Socyaliści mają zamiar stawiać swego kandydata, co dla nas wcale nie jest groźnem, owszem, raczej jest pożądanem, bo odejmie trochę głosów p. Holtzowi.

Kandydatura p. Jaworskiego wywołała polemikę w prasie. Postanowiono ją wbrew wyraźnym przepisom regulaminu, można powiedzieć, narzucono wyborcom. Ale na to nie zwróconoby zapewne uwagi, gdyby nie podejrzewano p. Jaworskiego, że jest zwolennikiem polityki ugodowej. Sprawa ta, bardzo ważna, nie została należycie wyjaśnioną. Na walnym wiecu przedwyborczym w Świeciu p. Jaworski oświadczył, że nie chce narzucać się wyborcom i chętnie ustąpi, jeżeli zaufaniem swem obdarzą innego kandydata. Po kilku ogólnikach o potrzebie obrony do ostatniego tchu »świętości religijnych i narodowych«, wyznał szczerze p. Jaworski, że nie może na razie odpowiedzieć, jaką drogę wybierze, bo wstąpiwszy do Koła, będzie musiał głosować wedle uchwał większości. Z pewnością nie o to wyborcom idzie, jak p. Jaworski będzie głosował w Kole. Z obecnych na wiecu jeden tylko p. Kulerski, redaktor *Gazety grudziądzkiej*, postawił sprawę wyraźnie. Zdaniem jego i większości wyborców posłowie polscy nie powinni nadal prowadzić polityki ugodowej, która w zamian za udzielane rządowi poparcie nie daje nam żadnych korzyści. Zapytał więc kandydata jakie pod tym względem zamyśla zająć stanowisko? P. Jaworski, przyparty do muru, wykręcił się oświadczeniem, że zważywszy na ogólną biedę w społeczeństwie polskiem, będzie wobec żądania nowych ofiar »bardzo wstrzemięźliwym«, ale powtarza, że musi głosować w imię solidarności zgodnie z uchwałami Koła.

Zebranie przyjęło to oświadczenie za dobrą monetę i odpowiedziało na nie oklaskami, które w danym wypadku dowodzą tylko braku wyrobienia politycznego. P. Jaworskiego jednomyślnie uznano jako jedynego kandydata, bez zastrzeżeń żadnych. Nie wyrażono nawet zdania o tem, jakiej polityki trzymać się powinien. Gdyby wyborcy jasno i dobitnie życzenia swoje zaznaczyli, musiałby się przyszły poseł chociaż cokolwiek liczyć z niemi w późniejszej działalności parlamentarnej.

Opiekun i mentor polityczny p. Jaworskiego, wielce popularny w powiecie świeckim obywatel, p. Parczewski, dziękując za składane mu życzenia w siedemdziesiątą rocznicę urodzin, zapewnił zebranych, że póki mu sił i życia starczy, pracować będzie dla dobra ludu, w którym widzi przyszłość narodu naszego. Pragnie bardzo żeby lud brał udział czynny w pracy narodowej i żeby z łona jego wychodzili jej przodownicy.

P. Parczewski jest obywatelem zasłużonym i człowiekiem rozumnym, pojmuje więc konieczność powołania ludu do czynnego udziału w pracy narodowej. W powiecie świeckim są już cztery tylko polskie rodziny szlacheckie. A jednak te cztery rodziny nie myślą o zrzeczeniu się przywileju przewodnictwa i p. Parczewski postępowaniem swojem w sprawie kandydatury p. Jaworskiego okazał dowodnie, że czyny nie zawsze zgadzają się ze słowami i że starych nałogów wyrzec się trudno.

Gdyby nawet p. Jaworski był jedynym kandydatem odpowiednim, nie należało go narzucać wyborcom, i bronić potem tej samowoli szlacheckiej wykrętnem dowodzeniem, że kandydatura przed trzema laty przyjęta jest obecnie obowiązującą, ponieważ wybory zostały unieważnione. Ale p. Jaworski nie był bynajmniej kandydatem jedynym. Odzywały się nawet w prasie miejscowej głosy za kandydaturą p. Kulerskiego, który wówczas odsiadywał jeszcze karę w więzieniu. Nie chcąc wnosić rozterki, *Gazeta grudziądzka* nie popierała kandydatury swego redaktora i sam p. Kulerski, po wypuszczeniu z więzienia, zrzekł się jej jawnie. Pomimo to ugodowcy, których politykę w piśmie swem zwalczał, rozpuszczać zaczęli pogłoski potwarcze o osobie i działalności publicznej p. Kulerskiego. W sposób nikczemny oczernił go korespondent poznański *Kraju*, który zarzucił p. Kulerskiemu, że chodzi mu po prostu o płatny mandat. W tych plotkach potwarczych, które korespondent powtórzył lub zmyślił, nie ma za grosz prawdy...

Wybory w okręgu starogardzko - czczewsko - kościerzyńskim mogłyby wypaść na korzyść naszą, gdyż w poprzednich dlatego głównie ponieśliśmy klęskę, że głosy wielu prawyborców polskich unieważniono. Prawybory uzupełniające odbędą się 23, wybory zaś 30 czerwca. Ludność w tych powiatach nie jest dostatecznie pod względem narodowym uświadomioną, ale jeżeli agitacya dotrze do wszystkich zakątków, poseł polski prawdopodobnie będzie do sejmu wybrany.

W Grudziądzu odbyło się 25 maja walne zebranie delegatów towarzystw rolniczych polskich w Prusiech Zachodnich. Przybyło na zebranie 25 delegatów, którzy przedstawiali 12 towarzystw. Na porządku dziennym stała sprawa połączenia towarzystw w jeden związek. W Poznańskiem oddawna już istnieje centralne towarzystwo rolnicze, które opiekuje się kółkami włościańskiemi. Kółka włościańskie powstały najpierw w Prusiech Zachodnich, mianowicie towarzystwo rolnicze w Piasecznie, założone w r. 1862, które było wzorem dla kółek wielkopolskich. To pierwsze towarzystwo dawno już upadło, a te, które później utworzone zostały nie rozwijają się należycie. W celu rozbudzenia ich działalności poruszono projekt utworzenia zarządu centralnego lub patronatu. Wniosek ten na zebraniu delegatów upadł, ponieważ większość obawiała się, że władze mogą uznać towarzystwa rolnicze polskie jako towarzystwa polityczne, którym łączyć się nie wolno. Prawo o towarzystwach i zebraniach odróżnia wprawdzie zajmujące się sprawami publicznemi od towarzystw politycznych. Jest nawet wyrok najwyższego trybunału, który zalicza polskie towarzystwa rolnicze do pierwszej kategoryi, a więc do takich, które mogą tworzyć związek i mieć zarząd centralny. Ale wobec stosunku władz rządowych do instytucyi polskich obawa, być może przesadna, wydała się uzasadnioną. Zamiast związku towarzystw delegaci postanowili wybrać zarząd nadzorczy, składający się z kilku członków, którego zadaniem ma być opieka nad towarzystwami i nadawanie im jednolitego kierunku.

Odrzucono również wniosek, domagający się przyłączenia pruskich towarzystw rolniczych do patronatu poznańskiego.

Z powiatu tucholskiego dochodzi nas wiadomość pocieszająca o przejściu dwóch majątków niemieckich w ręce polskie. P. Janta - Półczyński nabył folwark Reglin, a wieś rycerską Zarzecze, przez właściciela Niemca przechrzconą na Carlsbrau, podzielono obecnie na włości rentowe, które objęli wyłącznie Polacy z sąsiedniego Rytla.

Redaktor *Gazety toruńskiej*, p. Jan Brejski, skazany został na 100 marek kary lub 20 dni więzienia, za umieszczenie artykułu p. t. »Sposób na sposób«, w sprawie wydalania robotników polskich z państwa pruskiego. W artykule tym przytoczona była rozmowa dwóch obywateli Niemców, z których jeden skarżył się, że na zimę robotników polskich z Prus wydalają, chociaż i w tej porze roku są właścicielom majątków potrzebni, na co drugi poradził mu, żeby Polaków w policyi nie meldował. Sąd uznał, że rozmowa powyższa zawiera wezwanie do nieposłuszeństwa przepisom władzy państwowej. *M. Wil...*

Z GALICYI.

Lwów 14 czerwca.

Wiec katolicki. Pismo nuncyusza i ks. Stojałowski. Nowela emigracyjna.

Wiec katolicki, o którym wspominaliśmy poprzednio, zbierze się we Lwowie dopiero 7 lipca. Odezwa, wzywająca do udziału w wiecu i opatrzona podpisami stukilkudziesięciu osób robi wrażenie manifestu stronnictwa. Trudno zresztą inaczej zrozumieć potrzebę obrad wspólnych, których przedmiotem ma być »rodzina i społeczeństwo, życie prywatne i publiczne, dom i szkoła, przemysł i rola, nauka i literatura«. Ponieważ istnieje niewątpliwie zorganizowana grupa ludzi, która wiec zwołuje i urządza, jest więc już właściwie i stronnictwo, chociażby tylko składające się z samego sztabu.

Wbrew dosyć powszechnemu zdaniu, że my Polacy, ze względu na nasze stosunki zewnętrzne, nie powinniśmy dzielić się na stronnictwa, uważamy właściwe społeczeństwom współczesnym różniczkowanie się dążeń i interesów za objaw pożądany. Każde stronnictwo, mające wyraźny zakres zadań i program działania, dopomaga rozwojowi świadomości politycznej i społecznej. Tylko w hordach barbarzyńskich niema różnicy zdań, tylko słabe i zwyrodniałe narody lękają się ruchu i walki. Bezbarwność polityczna i społeczna jest stokroć szkodliwszą, aniżeli najbardziej zaciekła zawziętość stronnicza. Istnienie stronnictw nie szkodzi wcale sprawie narodowej, przeciwnie, w społeczeństwie naszem, niewyrobionem politycznie, bodaj najpilniejszem zadaniem jest wyjaśnienie pogmatwanych nieraz umyślnie dążeń i interesów różnych grup i warstw ludności. Wtedy dopiero, kiedy wytworzą się u nas stronnictwa, mające wytknięte cele i drogi działalności, możliwym będzie prawidłowy rozwój polityczny.

Stronnictwo katolickie w Galicyi ma niewątpliwie pewniejszą podstawę, aniżeli niektóre ze stronnictw, dzisiaj istniejących, jak np. stronnictwo t. zw. autonomistów. Są w innych krajach stronnictwa katolickie, mimo odrębnych zadań praktycznych, mające programy bardzo podobne. Takie stronnictwo byłoby u nas zupełnie uprawnionem, powiemy nawet — pożądanem.

Ale przeglądając uważnie podpisy, umieszczone na odezwie, widzimy w liczbie inicyatorów wiecu ludzi, wyznających dotychczas przekonania bardzo odmienne. Jeżeli jest co między nimi wspólnego — to chyba tylko, że tak powiem, »przynależność formalna« do religii katolickiej. Spotykamy w tym spisie stańczyków i demokratów, zawziętych wsteczników i liberałów, narodowców ruskich i moskalofilów obok gorących patryotów polskich. Czy można uwierzyć, że wszyscy ci ludzie pragną zespolić się pod znakiem krzyża i czerpać mądrość z »jedynego źródła wód żywych«. Opinia publiczna o wielu z nich mówi, że nie są wcale prawowiernymi i gorliwymi katolikami, a do niektórych nazwisk dodaje złośliwy komentarz, objaśniający dlaczego pp. X. Y. lub Z. znaleźli się w liczbie inicyatorów wiecu. Jedni pragną zyskać poparcie sfer wpływowych, drudzy — zjednać

sobie wyborców katolickich, żeby ratować zagrożone mandaty lub zdobyć zaszczytne i popłatne stanowiska. A nie są to plotki, lecz podejrzenia, uzasadnione argumentami dowodnymi.

Taki zbiór ludzi niczem właściwie, oprócz wyznawania religii katolickiej, niezwiązanych, nie może wytworzyć zwartego, świadomego swoich dążeń stronnictwa. Przewiduje to odezwa i oświadcza, że »gdzie nie będzie jednomyślności zdań, niechaj będzie jednomyślność dobrej woli, która daje pokój i pocieszenie«. Niestety, dobra wola nie wystarcza do podejmowania tych zadań, które sobie wiec zakreśla. Dobrą wolę mają zapewne i p. Daszyński i ks. Stojałowski i posłowie stronnictwa ludowego i p. Romanowicz i wielu innych, z którymi inicyatorowie wiecu nie chcieliby, zdaje się, mieć nic wspólnego.

Zresztą ks. Stojałowski zapowiada, że na wiec przybędzie, jeżeli znowu, »oszukany przez złych ludzi«, nie prześpi odejścia pociągu. Ciekawem będzie spotkanie nieposłusznego księdza z nuncyuszem Agliardim, który również na wiec przybyć zamierza. Przed paru tygodniami policya (?) doręczyła ks. Stojałowskiemu następujące pismo:

»My Antoni Agliardi z Bożej łaski i Stolicy Ap. Arcybiskup Cezarejski etc...

»Gdyśmy dekretem z dnia 8 października ubiegłego roku pod l. 2268 Wiel. X. St. Stojałowskiego, który zwłaszcza w Galicyi ośmiela się mącić publiczny spokój i targać karność kościelną, upomnieli, aby pod obowiązkiem ścisłego posłuszeństwa opuścił w przeciągu 8 dni państwo austryacko-węgierskie i udał się do swojej dyecezyi antiwareńskiej, do której należy, wyżej wspomniany kapłan dał nam znać listownie, że napomnień naszych nie usłucha i dotąd rzeczywiście przebywa w Galicyi i jużto przemowami, jużto gazetkami nie przestaje podburzać ludu przeciw powadze czcigodnych biskupów. Dlatego też, po upływie określonego czasu, mocą szczególnej władzy i upoważnienia od św. Stolicy Nam udzielonego i w imieniu św. Stolicy suspendujemy Wielebn. X. Stan. Stojałowskiego od sprawowania wszelkich czynności, czy to z tytułu święceń kapłańskich, czy jurysdykcyi wypływających, jakoteż chcemy i rozkazujemy, aby go wszyscy jako suspendowanego uważali.

Dan w Wiedniu dnia 16 maja 1896.

† *Antoni*
Arcybiskup Cezarejski«.

Jakkolwiek działalność ks. Stojałowskiego w ostatnich czasach zeszła na bezdroża i stała się w wysokim stopniu szkodliwą, takiego sposobu prowadzenia z nim walki nie możemy uznać za właściwy. Dodać zaś trzeba, że jest on i bezskuteczny. Ks. Stojałowski publicznie drwi sobie z interdyktu i z powagi najwyższej władzy kościelnej, traktuje pismo nuncyusza jak zwyczajny list a osobę jego ośmiesza, odprawia msze po dawnemu i ogłasza o tem. Jako obywatel ma prawo, powinien nawet stawić opór wszelkim ograniczeniom swej działalności, ale wątpić można, czy jako ksiądz ma słuszność za sobą. On sam wprawdzie twierdzi, że ma, lecz nikt nie może być sędzią w swej sprawie, a trudno przypuścić, żeby nuncyusz i biskupi nie wiedzieli, co robią i nie znali prawa kanonicznego. Rozmaicie można sądzić ich pobudki, ale gdyby nawet były złe i niesprawiedliwe, nie zmienia to sprawy. Kurenda konsystorza biskupiego, nie wymieniając z nazwiska ks. Stojałowskiego, tak o nim mówi:

»Najprzewrotniejsi (z agitatorów) podnoszą wbrew wszelkiej prawdzie i sprawiedliwości zarzuty, jakoby biskupi i kapłani nadużywali swej władzy, a nawet bezczelnie fałszują naukę Kościoła o władzy Namiestnika Chrystusowego i biskupów. A czynią to w tym celu, aby tym fałszem usprawiedliwić wobec prostaczków swoje karygodne postępowanie, potępione przez episkopat, i tak wytłómaczyć swój opór, który nosi piętno heretyckiej buty i zaciekłości«.

»Wspominamy o tem dla tego, że jeden kapłan, mimo suspensy od ołtarza i innych funkcyi kapłańskich, bałamuci wiernych, utrzymując, że żadna władza, a nawet Papież, nie mogą mu odebrać kapłaństwa." Tak jest, gdyż wyświęcony na kapłana otrzymuje na duszy piętno niezmazalne nie tylko w tem, ale w przyszłem życiu... Lecz gdy taki kapłan został przez biskupa suspensą ukarany, a wbrew tej karze spełnia czynności kapłańskie, natenczas staje się winnym nowej zbrodni świętokradztwa.«

Ks. Stojałowski — powiada *Nowa reforma* — doszedł do punktu, z którego niema drogi naprzód wiodącej, radzi mu więc, żeby się cofnął póki czas. Ale, zdaje się, że on cofnąć się już nie może, i musi iść dalej, chociażby przez manowce i bezdroża. Bo chociaż stańczycy świeccy wybaczyliby mu zapewne stare grzechy, władza kościelna uczynić tego nie może, gdyż rozbiłaby wszelką karność i ks. Stojałowski znalazłby rychło wielu naśladowców. Zresztą wygórowana miłość własna i próżność, dochodząca do obłędu, któremi objaśnić można wszystkie wichrzenia jego i zwroty w przekonaniach, nie pozwolą mu upokorzyć się przed czyjąkolwiek powagą. Ten człowiek niezwykle energiczny i zdolny, a nawet, przyznać trzeba, w przeszłości bardzo zasłużony, zmarnował się w walce zaciętej, w której ani on, ani przeciwnicy w środkach nie przebierali. Ale jakkolwiek rola jego, jako wodza i przedstawiciela ludu, jest już bodaj skończoną, stać się on może bardziej niebezpiecznym, niż był dotyczas, jako wichrzyciel polityczny i religijny. W tej nowej roli zyskał już pochwały *Hałyczanina*, który się cieszy, że w ks. Stojałowskim odezwała się wreszcie »russka« krew.

Rada państwa, która w ostatnich kilku miesiącach stała się fabryką pospiesznego wyrobu wszelakich ustaw, uchwaliła na wniosek p. p. Pinińskiego i Wielowiejskiego nowelę do ustawy karnej, zwróconą przeciw agentom emigracyjnym. — Czy nowela taka jest potrzebną — spierać się nie warto, nic nie szkodzi, że ją uchwalono, chociaż ustawy dotychczasowe wystarczały do karania agentów niesumiennych. Ale nie można tej uchwały w żadnym razie uważać za próbę rozstrzygnięcia sprawy emigracyjnej. Tymczasem wnioskodawca, p. Piniński przyznał wprawdzie, że stosunki ekonomiczne mają pewien wpływ na zwiększenie wychodztwa, ale wpływ agentów jest daleko większy. Ma się rozumieć, na poparcie swego twierdzenia nie przytoczył, bo przytoczyć nie mógł, żadnych poważnych dowodów. Takie fałszywe i jednostronne przedstawienie sprawy może być w skutkach swych wielce szkodliwem, bo odwraca uwagę rządu i opinii publicznej od właściwych środków przeciwdziałania wychodztwu i odracza pilną potrzebę uregulowania tego ruchu, który w znacznej mierze, jak niejednokrotnie wykazywaliśmy, jest objawem naturalnym, zależnym przedewszystkiem od względnego przeludnienia kraju. Tymbardziej o noweli powiedzieć to można, poznawszy jej treść, która agentów nieuprawnionych, namawiających lud do opuszczania kraju, karze aresztem od 6 tygodni do 6 miesięcy, a ludziom, nawet mającym koncesye na agentów, którzy przez fałszywe przedstawianie stosunków skłaniają włościan do wychodztwa, grozi karą więzienia od 6 miesięcy do 2 lat. Na podstawie tego paragrafu agitator polityczny, krytykujący stosunki społeczne i polityczne w Galicyi, może być oddany pod sąd i nawet skazany.

J. Raźmiak.

= *Macierz polska.* Ostatnie sprawozdanie »Macierzy polskiej« wykazuje smutny stan tej instytucyi. W ubiegłym roku sprawozdawczym oprócz kalendarza i tygodnika *Niedziela* wydała instytucya tylko trzy książki i miała około 5000 zł. deficytu. Pisma zachowawcze, które dawniej miały tylko pochwały dla »Macierzy«, uderzyły teraz na tę instytucyę, osypując ją słusznymi i niesłusznymi zarzutami. Wykazują one, że lud w Galicyi czyta i czyta coraz więcej, ale nie chce książeczek »Macierzy«, ta zaś strawa umysłowa, z której korzysta, jest złą i szkodliwą. Należy więc, zdaniem ich, zreformować »Macierz«, żeby przeciwdziałała skutecznie szkodliwej propagandzie radykalnej.

Jeżeli lud daje pierwszeństwo pewnym wydawnictwom nad książeczkami »Macierzy«, to dla tego głównie, że odpowiadają one jego uczuciom, usposobieniom i potrzebom. Wydawnictwa »Macierzy«, niektóre przynajmniej, mają pewne zalety, ale szkodzi im tendencyjność w kierunku, przeciwnym dążeniom ludu. Obecnie pisma zachowawcze pragną jeszcze tendencyjność tę wzmocnić, mylnie sądząc, że nie ona, ale nieudolne prowadzenie wydawnictwa jest przyczyną niepowodzenia. Nie przeczymy, że kierownictwo wydawnictw »Macierzy« i administracya tej instytucyi pozostawiają wiele do życzenia, zdaje się nam jednak, że główna wina ciąży na opiekunach instytucyi, którzy wymaganiami swemi rozwój jej krępują. Właśnie w ostatnich latach wydała »Macierz« kilka rzeczy bardzo dobrych i pożytecznych, jak np. *Śpiewy historyczne*, *Księgę rzeczy polskich* i t. d. Takie wydawnictwa mogłyby z czasem podnieść jej powagę i zyskać popularność. Zwrócenie zaś działalności instytucyi, której celem powinna być oświata ludu — do robót stronniczych, zabarwienie jej wyraźną tendencyą polityczną, jak pragną niezadowoleni krytycy, doprowadzi do tego, że lud wcale książeczek, firmą »Macierzy« opatrzonych, czytać nie będzie. Dla podniesienia oświaty i dobrobytu ludu dużo jeszcze zostaje do zrobienia i ta praca kulturalna, wolna od wszelkich domieszek politycznych i społecznych, ale oparta na gruncie narodowym, powinna być zadaniem takiej, jak »Macierz polska«, instytucyi. Wtedy zyskałaby ona niewątpliwie poparcie powszechne, a wydawnictwom jej nie zabrakłoby czytelników.

Z KRESÓW.

= *Polacy na Bukowinie.* Ludność polska na Bukowinie, jak to już zaznaczyliśmy, stale wzrasta liczebnie a zamożni jej przedstawiciele zajmują nawet stanowiska wpływowe. Pomimo to jednak nietylko wobec władz, ale i wobec panoszących się na Bukowinie Niemców i Rumunów, żywioł polski, który nietylko w tej prowincyi, ale i w całej monarchii ma prawo i podstawę do zajmowania poczesnego miejsca — niejednokrotnie czuje się upośledzonym. Wychodząca w Czerniowcach *Gazeta polska* donosi np. o następującym fakcie. Starosta pewnego powiatu przybył do wsi, w której znajduje się kilkadziesiąt rodzin polskich. Rodziny te wysłały do niego deputacyę z prośbą, żeby dzieci w szkole mogły się uczyć języka ojczystego, gdyż teraz nie korzystają nawet i nie potrafiłyby korzystać z polskiej nauki katechizmu. P. starosta wręcz odmówił zadośćuczynienia tej prośbie, a kiedy jeden z deputatów odezwał się: »Cóż my, biedaki, mamy robić«, urzędnik zawołał: »Jeżeli jesteście Polakami, to wynoście się do Krakowa, tutaj na Bukowinie nie macie co robić«.

W Korowii pod Czerniowcami mieszka kilkunastu włościan katolików. Jednemu z nich umarło dziecko, sprowadził więc księdza, żeby je pochował. Kiedy orszak pogrzebowy przechodził koło cerkwi, otoczyła go gromada prawosławnych Rumunów i na cmentarzu zelżyła zwłoki, a księdzu nie pozwoliła odmówić modlitwy. Wypadek powyższy jest wymowną ilustracyą do uchwały synodu prawosławnego, skarżącej się przed rządem na ucisk prawosławia ze strony katolicyzmu.

Podobne fakty, jak postępek owego starosty, powinny być przedmiotem interpelacyi w Radzie państwa, gdyby Koło polskie poczuwało się do obowiązku naturalnego obrony ludności naszej w Austryi, nietylko w Galicyi. Jest Polak posłem z Bukowiny, ale i ten zapewne milczeć będzie. A czas już wielki, żeby położenie ludności na Bukowinie prawnie zostało określonem. Na sejm miejscowy liczyć w tym względzie nie można, niechajby więc rząd centralny wyjaśnił władzom bukowińskim, że Polacy mają takie prawa, jak inni obywatele, na mocy ustaw zasadniczych i surowo zalecił przestrzegać równouprawnienia.

Słusznie powiada *Gazeta polska*, że »tylko pokornemu usposobieniu rodaków naszych, których w podobny sposób zelżono, zawdzięcza ów wymieniony p starosta, że nie oni do Krakowa, ale on nie poszedł *nach Draussen*«. Nie można dziwić się pokorze chłopów, ale dziwić się trzeba potulności i obojętności tej inteligencyi, która na takie fakty pozwala. Nawet potępiająca pokorność gazeta nie wymieniła nazwiska starosty.

Istnieje w Czerniowcach niemiecki *Theater-Verein*, który powstał w tych czasach, kiedy z Bukowiny usiłowano zrobić twierdzę niemczyzny na kresach wschodnich. Do tego towarzystwa, prowadzącego najszkodliwszą, bo działającą na szerokie masy, robotę germanizacyjną, należą obok Niemców i Żydów, Polacy, Rusini i Rumuni«. Rzecz dziwna — powiada *Gazeta polska* — dopomagają do niej (germanizacyi) *optima fide* ludzie, którzy na każdem innem polu spraw publicznych aż do szowinizmu troszczą się o utrzymanie i wzmocnienie uczuć narodowych w swych żywiole«.

Taka *optima fides* patryotów polskich, zasiadających w zarządzie niemieckiego *Vereinu* dowodzi zupełnego braku poczucia narodowego lub braku zastanowienia, żeby nie powiedzieć wyraźniej. Teraz *Verein*, który stoi licho pod względem finansowym, zamyśla o wyzyskaniu nowych źródeł dochodu i w tej robocie gorliwie z nim współdziałają patryoci polscy lub ruscy. Takich ludzi zaślepionych i na szkodę własnego żywiołu działających nie wolno nazywać »poważnymi, zacnymi i bezstronnymi«, chociażby na innem polu położyli zasługi niewątpliwe.

= *Centrum na Warmii.* Zwolennicy stronnictwa centrum urządzili w Olsztynie zebranie, na które zaprosili sławnych mówców aż z Kolonii, ale ks. Wolszlegierowi, posłowi polskiemu zaproszenia nie posłano. Dawniej Warmia wybierała posła, należącego do centrum, dopiero na ostatnich wyborach przeszedł kandydat polski. Katolicy Niemcy chcieliby odzyskać utracone stanowisko, dokładali więc wszelkich starań, żeby pozyskać sobie wyborców Polaków. Przemawiano na zebraniu po polsku i niemiecku, zapewniano, że centrum broniło zawsze praw języka polskiego. Ks. Herrmann dowodził, że jeżeli wyborcy chcą przywrócenia nauki języka polskiego w szkole, to powinni naprzód zwrócić się z modlitwą do nieba, a potem z prośbą o poparcie do centrum. »Próżno się w Berlinie wadzisz, kiedy doma nie uradzisz«, odpowiada centrowcom *Gazeta olsztyńska.* Niechaj księża nie znoszą śpiewu i kazań polskich, niechaj nie uczą dzieci po niemiecku religii, a na skargi rodziców niech nie odpowiadają, że Bóg i po niemiecku rozumie. Ks. Herrmann dowodził, że nawet *Dziennik poznański* i *Czas* niedawno odradzały Polakom, żeby na Śląsku i Warmii kandydatów swoich nie stawili. Tymczasem oba te pisma z okazyi jubileuszu centrum wyraziły tylko życzenie, żeby mię-

*

dzy tem stronnictwem a ludnością polską wszelka waśń ustała.

Dążenia katolików niemieckich szczerze odsłonił p. Krebs, który oświadczył, że centrum nie uznaje narodowości a wybór ks. Wolszlegiera nazwał zdradzieckiem wydarciem mandatu. *Germania* a za nią *Warmiak* (pisemko po polsku ale w duchu niemieckim wydawane) oznajmiły, że mowę p. Krebsa w dziennikach polskich przekręcono. *Gazeta olsztyńska* twierdzi jednak, że podała dobrze treść przemówienia, które powtarza obecnie prawie dosłownie. »Jestem tu sam tylko jako poseł do parlamentu, gdyż mandat poselski z okręgu olsztyńsko reszelskiego przed trzema laty zdradziecko i postępnie wydarty został centrum. Spodziewam się, że centrum go jednak znowu przy przyszłych wyborach zdobędzie. Centrum jest partyą katolicką i żadnej narodowości nie uznaje. Wnoszę okrzyk na cześć przewodniczącego partyi centrowej w okręgu olsztyńsko - reszelskim, ks. dziekana Romahna«.

Ks. Wolszlegier, przeciw któremu centrum kampanię prowadzi, jest człowiekiem bardzo rozumnym i ze wszech miar godnym szacunku, a zupełnie wolnym od zaciekłości klerykalnej.

Z WYCHODZTWA I KOLONII.

Milwaukee 30 maja.

Sprawa języka polskiego w szkołach miejskich. Odczyt prof. Siemiradzkiego.

Tutejszy ogół polski zajęty jest obecnie sprawą petycyi wniesionej do milwauckiej rady szkolnej w sprawie wprowadzenia nauki języka polskiego do szkół miejskich. Sprawa ta już od pewnego czasu zajmowała ludzi i zamiar zakrzątnięcia się około wprowadzenia tej myśli w życie nie od dziś się datuje. Dopiero jednak ostatnimi czasy zrobiono krok stanowczy. Na mitingu polskiego Towarzystwa Oświaty powzięto następującą uchwałę:

»Ponieważ coraz więcej rodziców polskich posyła swe dzieci do niższych lub wyższych klas elementarnych szkół publicznych;

»Ponieważ dziecku trudno jest wykład pojąć, jeżeli tenże nie jest w rodzicielskim języku;

»Ponieważ, w braku dobrych polskich szkół wyższych, wielu rodziców polskich zmuszonych jest do posyłania synów swych do wyższych szkół miejskich;

»Ponieważ nauka wyższa jest dla synów polskich rodziców koniecznie potrzebną — a biorąc wzgląd na rozwój kolonii polskich w Północnej i Południowej Ameryce, gdzie handel i przemysł niezadługo szeroko rozkwitnie, niedokładna znajomość polskiego języka byłaby dla Polaka w handlu w przemyśle wielkim brakiem, przeto

»Postanawia się wnieść petycyę do miejscowej rady szkolnej o ustanowienie polskich nauczycieli lub nauczycielek i o wykład języka polskiego w takich elementarnych szkołach publicznych, gdzie znaczna liczba dzieci polskich uczęszcza, oraz

»Postanawia się wnieść petycyę do miejscowej rady szkolnej o ustanowienie profesora polskiego języka w jednej z miejskich szkół wyższych, jeżeli dostateczna liczba uczniów na naukę tegoż języka się zgłosi«.

Zdaje się, iż rzecz jest bardzo prosta i że z polskiej strony żaden nie może powstać zarzut przeciw podobnej sprawie. Tymczasem okazało się przeciwnie. Tutejszy obóz klerykalny wystąpił energicznie przeciw inicyatorom, dowodząc, że wprowadzenie języka polskiego do szkół miejskich szkodliwe jest dla katolicyzmu, ponieważ skutkiem jego będzie odciąganie dzieci od polskich szkółek parafialnych. Na tem tle powstała polemika gazeciarska i rozmaite intrygi zakulisowe, które bardzo łatwo mogą udaremnić zamiar Tow. Oświaty.

Nie można obrońcom szkół parafialnych odmówić pewnej słuszności. Istotnie, uznanie języka polskiego w szkołach miejskich będzie przyciągało do nich dzieci polskie, które przeważnie korzystają dziś ze szkółek parafialnych, ale nie trzeba zapominać także, iż winniśmy myśleć o tych dzieciach, które już dziś do szkół miejskich chodzą i nauki języka ojczystego całkiem są pozbawione. Powtóre obowiązkiem naszym jest wywalczać dla języka polskiego miejsce wszędzie, gdzie się da, bo przez to podnosimy powagę i znaczenie naszej narodowości na zewnątrz a rodakom własnym dodajemy otuchy i zachęcamy ich do wytrwania przy swej mowie tu, gdzie na każdym kroku grozi wynarodowienie.

Gdyby obrońcy szkół parafialnych byli mniej po katolicku jednostronni i gdyby wielu z nich dbało o coś więcej, po nad dochody parafialne, możeby przeciw dobrej sprawie z taką zaciętością nie występowali.

Co do samej petycyi, to dotychczas znajduje ona we właściwych sferach dobre przyjęcie. Nie wiadomo, jakie będą dalsze jej losy. Komitet reguł rady szkolnej, zrazu niechętny, w części przez zwykły konserwatyzm, w części przez angielski patryotyzm, uznał w końcu argumenty ze strony polskiej za słuszne i oświadczył, iż żadne reguły niestoją na przeszkodzie wprowadzeniu języka polskiego do szkół publicznych. Z tą opinią petycya przechodzi do komitetu podręczników szkolnych, będącego zarazem komitetem programu nauk. Ponieważ obowiązkiem tego komitetu jest między innemi: »od czasu do czasu badać program nauki przepisany dla szkół i polecać radzie szkolnej pożądane zmiany, ulepszenia i dodatkowe nauki«., przeto los petycyi od niego właściwie zależy. Jeżeli z niego wyjdzie polecenie zaprowadzenia nauki nowego przedmiotu, sprawa jest załatwiona.

Dnia 26 maja był tu odczyt prof. Siemiradzkiego o polityce narodu polskiego w okresie porozbiorowym. Prof. S. przybył tu z Chicago, gdzie prowadzi wykłady w naszym uniwersytecie ludowym i po odczycie niebawem wyjechał, ażeby później wrócić do nas na dłużej. Spora liczba słuchaczów opuściła salę z wdzięcznością dla prelegenta, odczyt bowiem był w całem tego słowa znaczeniu znakomity.

W p Siemiradzkim, który niedawno przybył z Europy, społeczeństwo polskie w Ameryce niewątpliwie pozyskało człowieka wielkiej wartości, moralnej i umysłowej. Człowiek z tak szlachetnemi intencyami, z jego zdolnościami i wykształceniem, może wiele dobrego wprowadzić w nasze tutejsze życie.

Serdeczne przyjęcie, jakiego w naszem mieście doznał, świadczy, że sz. profesor i przedstawiana przezeń sprawa uniwersytetu ludowego znajdzie tu szerokie poparcie i współdziałanie. *Fiat.*

PRZEGLĄD PRASY POLSKIEJ.

== W *Słowie polskiem* p. Romanowicz, mówiąc o wydaniu niemieckiem znanej książki p. Koźmiana, wykazuje, że autor nieuwzględnił wcale słusznych zarzutów i sprostowań krytyki i opuścił tendencyjnie w przekładzie niektóre fakty i rozumowania, które w oryginale polskim, przeznaczonym dla czytelników, lepiej znających sprawę, pomieścić musiał. Pismom niemieckim i rosyjskim podobały się zda-

nia p. Koźmiana, że sprawa polska jest dziś sprawą miejscową i że istnienie samodzielnej Polski jest niemożliwem.

„Jeżeli to jest istotnie przekonaniem i wiarą p. Koźmiana — pisze p. Romanowicz — trudno odmówić mu prawa do głoszenia tych zasad między rodakami. Ale jaki cel, jaki sens ma podawanie tego wszystkiego europejskiej, a szczególnie niemieckiej publiczności? Czy sprawa narodowa może jakikolwiek odnieść z tego pożytek, czy raczej nie musi ponieść szkody, gdy się o narodzie polskim takie „prawdy“ głosi i w opinii europejskiej rozpowszechnia? Czy jest gdzie na świecie naród, któryby swą politykę zasadzał na tem, żeby po szerokim świecie głosić, iż nie ma żadnej przed sobą politycznej przyszłości, iż nie jest żadnym czynnikiem politycznym, lecz jest tylko jakimś żywiołem etnograficznym, któremu do szczęścia starczy — zachować swój język i obyczaj. Czy gdziekolwiek w świecie znajdzie się historyk, czy publicysta, któryby przed obcymi własny swój naród w tak przesadnie czarnem świetle przedstawił, jak to uczynił p Koźmian w swojej *autorisirte, deutsche Bearbeitung?*

Zdaje się, że w forsowaniu książki p. Koźmiana, która ma też ukazać się, a może się już ukazała w taniem wydaniu polskiem, gra główną rolę chęć zyskania rozgłosu, nie zaś świadomie określony cel polityczny. P. Koźmian, znany dotychczas jako „przyjaciel poufny« znakomitych stańczyków, zdobywał sobie sławę przy stolikach karcianych lub za kulisami teatrów. Dzisiaj pierwszego rodzaju sukcesy nie wystarczają mu już widocznie a do drugich on już.. nie wystarcza, zapragnął więc na starość laurów męża stanu.

== Pisma górnośląskie coraz wyraźniej zaznaczają swoje stanowisko narodowe, wobec usiłowań germanizacyjnych duchowieństwa. Najumiarkowańszy z organów polskich na Śląsku, *Katolik* tak pisze w tej sprawie:

„Obrony swojej polskiej narodowości i polskiej mowy nie może lud zdawać jedynie na samych księży, bo stosunki obecne są takie, iż ksiądz, choćby chciał, nie może często bronić spraw narodowych ludu polskiego, jak potrzeba, gdyż mu tego zakażą. Lud musi sam o sobie myśleć; musi sam siebie bronić; z pomiędzy siebie wyrabiać przewodników świeckich, ażeby sobie dał radę z walką i obroną skarbów swoich, choćby wszyscy księża zupełnie odsunęli się lub odsunięci zostali od przewodniczenia i działania wspólnie z ludem przeciwko germanizacyi.

„Wobec takiego położenia jednak ma lud prawo oczekiwać od duchowieństwa, że nie będzie przeszkadzało samodzielnej organizacyi ludu polskiego dla obrony narodowości swojej i języka. A więc mianowicie, że nie będzie walczyło z ruchem ludowym, który zawsze drogami katolickiemi postępuje; że nie będzie odmawiało charakteru katolickiego towarzystwom polskim, które jakkolwiek ze szczerych katolików złożone, osoby duchownej na czele nie mają; że nie będzie potępiało gazet polskich, które widząc jasno położenie, pragną usamodzielnić lud ze względu na przyszłość jego.

„Kto z księży naszych chce i może stanąć, jak potrzeba, na czele obrony przeciwko germanizacyi, z radością przez lud dowódzcą i przewodnikiem uznany zostanie. Albowiem wierny lud katolicki zawsze najchętniej swoich duchownych przewodnikami mieć pragnie.

„Kto jednak tego uczynić nie chce lub nie może, niech ludowi przynajmniej razem z rządem i policyą nie przeszkadza w usiłowaniach, skierowanych ku zachowaniu narodowości i mowy polskiej“.

== Zaznaczyliśmy już pewne objawy, świadczące o niezadowoleniu duchowieństwa z sojuszu ze stańczykami i wogóle zachowawcami, który ostatni na swoją wyłącznie korzyść wyzyskują. Sojusz ten podkopał wpływ księży na lud, im zaś nie dał żadnych zysków. Korespondent krakowski *Kuryera poznańskiego* tak pisze w tej sprawie:

„Drugi zwrot znaczący — to najnowsze objawy co do stanowiska duchowieństwa w sprawie ludowej; zajmuje ono coraz wyraźniej stanowisko stanowcze nie przeciw ludowi i nie przeciw szlachcie, ale w obronie prawdy i sprawiedliwości. W Krakowie i po za Krakowem rozpoczęło duchowieństwo tworzyć związki robotnicze pod nazwą „przyjaźni“, i postawiło sobie za zadanie bronienie prawdziwego dobra robotnika miejskiego i ludu wiejskiego; nie wiem, czy w związku z tem odezwali się w Wiedniu kapłani posłowie, pragnący przynieść ulgę ludowi włościańskiemu w jego ciężarach gruntowych, gniotących go niesłychanie, tak dalece, że nieraz biedny właściciel 1 morga gruntu i tę resztę ziemi obdłużyć i sprzedać musi, byle zapłacić podatek. Ks poseł Kopyciński powiedział z całą odwagą, a słowa jego oby nie przebrzmiały bez echa, że sejm powinien był wybrać komisyę nieustającą, którąby wszystkie nierówności w ustawach krajowych zniosła i w taki sposób środek agitacyjny z ręki radykałów wytrąciła. O tym znaczącym zwrocie w stanowisku duchowieństwa miałem sposobność mówić onegdaj z jednym z kapłanów, który sprawie socyalnej i sprawie ludowej życie swoje poświęcił jako zakonnik. Rzekł mi on: Wywoła to dużo krzyków jeszcze, ale nasze stanowisko jest jasne, wskazane ewangelią i musi mieć dobro ludu na oku.“

Wiadomo, jak przyjęło Koło polskie wniosek ks. Kopycińskiego i jego kolegów. Pierwsza próba poparcia interesów ludu »nie przeciw szlachcie, ale w obronie prawdy i sprawiedliwości« — skończyła się porażką tych, co ją podjęli.

== 57 włościan i robotników polskich rodem z Galicyi i z Litwy, mieszkających w Stanach Zjednoczonych, złożyło kilkadziesiąt guldenów i przesłało tę sumę do lwowskiego *Przyjaciela ludu* na pomnik dla Jana Gila, któremu ksiądz odmówił pogrzebu za to, że był gorliwym członkiem stronnictwa ludowego. Z listu dołączonego do przesyłki i wydrukowanego w *Przyjacielu* przytaczamy ważniejsze ustępy:

„Z wami myślimy i sercem czujemy, bo my tu w obcej ziemi niepotrzebni. Kiedy nasza Polska nas zrodziła, toby i wychowała, gdyby nam jej nie zabrali. I oto dziś jako nędzni wyrobnicy musimy się włóczyć poza fale morskie. A niedość tego nieszczęścia, że musimy rozstawać się z tem, co nam miłe, ale jeszcze sól na rany nasze sypią, bo nie chcą nas puszczać z kraju i zastawiają drogi publiczne i koleje, niby to, że nas żałują, żeby my się nie poniewierali. I z tej żałości rabują i sadzają po ciemnicach. Jak przed narodzeniem Pana Jezusa sadzali ojców świętych, tak teraz wychodźców sadzają. A przecież człowiek nie jest towarem albo zwierzyną, aby mieć prawo nad nim.“

W Niemczech a nawet w Ameryce wychodzcy narażeni są na przykrości i prześladowania.

„I wszystko musimy przyjąć, jako sieroty i tułacze, po całej kuli ziemskiej rozproszeni po zmarłej matce Polsce. Ale ona nie umarła tylko śpi dla nas. Ona umarła tylko dla tych, co ją przedali. O Polsko, my maluczcy, my ci nic nie winni. Wstań już nasza Matko i pozwołuj swoje córki i syny! Popieść się z nami, jako matka ze synami, a my Cię kochać będziemy i potargać Cię nie damy!“

W końcu listu podpisany na nim Jan Winnicki z rozrzewniającą naiwnością zwraca się do redakcyi:

„Proszę szanowną redakcyę o umieszczenie moich słów w gazetce waszej i o wybaczenie mi, jakem w czem czasem albo i teraz przewinił. I za to podłe pismo proszę wybaczyć, bo ino tyle umiem, com po świecie nazbierał, jak kura, a nie w szkole.“

== W wysławianiu koronacyi łączy się z *Czasem* i ks. Stojałowskim *Przegląd polski*, w zeszycie ostatnim tego pisma czytamy:

„Jeżeli z aktu i manifestu koronacyi da się więc wyciągnąć nauka na przyszłość, to zapewne ta, że Mikołaj II trzyma się stale myśli samowładztwa, że niema obecnie w Rosyi żadnej mowy o jakichś konstytucyjnych, lub innych, zachodnio-europejskich „nowinkach“, ale że równocześnie ten samowładzca chce swoje rządy uczynić i sprawiedliwszemi i więcej ludzkiemi, jak dotychczas. O reformach politycznych w Rosyi więc i za nowego władzcy mowy nie będzie, ale będzie może mowa o reformach administracyjnych, sądowych i innych.

„Z tą myślą — pisze *Przegląd* — muszą się oswoić i nasi bracia w Królestwie; wysłannicy szlachty Królestwa nie odegrali podczas koronacyi żadnej roli; ale byli tam jako jedno ciało, jako reprezentanci jednego kraju, a nie jako reprezentanci różnych gubernii. W tem jest może wskazówka, a razem nauka na przyszłość. To wydaje się obecnie jedynym politycznym momentem (?), jaki da się upatrzyć w koronacyjnych uroczystościach i w manifeście Mikołaja II. Ale jeżeli w koronacyjnych uroczystościach nie było politycznego działania, to polityczne znaczenie było. Było w jednomyślnym zapale ludności dla cesarza i cesarstwa; było w tym przepychu, w jakim Rosya święciła swoją potęgę, a odbierała jej uznanie przez wszystkich. Europa i Azya pośpieszyły składać jej hołdy. Narodowa miłość własna

i duma (czyja?) miała się czego radować, a w historyi Rosyi ta koronacya będzie wspaniałą kartą, jak była wspaniałem widowiskiem dla naocznych świadków.“

== Oryginalny, grzecznie mówiąc, pogląd na awantury uliczne w Petersburgu wygłasza krakowskie pismo socyalistyczne *Naprzód*:

„Mgliste, cenzurowane wiadomości pozwalają nam tylko dorozumiewać się, że to była rewolucyjna demonstracya. Odbycie się jej podczas uroczystości koronacyjnych w najpiękniejszej ulicy miasta, przez dziesiątki tysięcy ludzi, którzy przecież nie mogli w takiej masie być pijani, okoliczność, że przeciw policyantom i arystokracyi była skierowaną, powtórzenie bójki ulicznej na drugi dzień o tej samej porze — wszystko to daje dużo do myślenia. Musi być już w stolicy państwa rosyjskiego pomimo azyatyckiego despotyzmu, który z europejskiem wyrafinowaniem tłumi każdy ruch wolnościowy, silny ruch rewolucyjny wśród proletaryatu, ruch, który dotarł już nawet do małomieszczaństwa“.

„I dla nas Polaków ważną jest ta demonstracya, która świadczy o istnieniu ruchu mogącego kiedyś obalić carat; nie jest to już nihilizm, nie zamachy na życie cara; jest to już masowa akcya proletaryatu“.

Niestety, ta »olbrzymia demonstracya rewolucyjnego proletaryatu a nawet drobno mieszczaństwa« zaczęła się od zrzucania czapek z głów przechodniom, porządnie ubranym i domagania się, żeby krzyczeli »hurra«. Dodać trzeba, że arystokracyą zapewne nazywa *Naprzód* wogóle ludzi, nie należących do rewolucyjnego proletaryatu i drobnego mieszczaństwa, bo właściwa arystokracya była wówczas w Moskwie.

PRZEGLĄD PRASY OBCEJ.

== Wiadomo, że zjednoczenie kościołów chrześcijańskich jest ulubionem marzeniem Leona XIII. Ciekawe wynurzenia o tych ułudnych nadziejach zamieszcza *Voce della verita* z powodu wyjazdu nuncyusza Agliardiego do Moskwy na uroczystości koronacyjne:

„To nadzwyczajne poselstwo jest czemś więcej, niż zewnętrzną formalnością, więcej niż obowiązkiem towarzyskim. Ten bowiem, kto zastępuje papieża, jest prawdziwym przedstawicielem Rzymu i świata katolickiego to jest tego Kościoła, który swe znaki pokojowe roztacza nad wszelkiemi częściami cywilizowanego świata, nad najróżnorodniejszymi narodami, językami i rasami. Głowa Kościoła powszechnego (katolickiego) ma swego przedstawiciela wobec głosu wielkiego Kościoła narodowego (prawosławnego). I przez to ciśnie się do duszy każdego katolika jakiejkolwiekbądź narodowości myśl o jedności religijnej, jedności, za którą w duszy każdego chrześcianina odzywa się tęsknota, jako głos ducha bożego. Ta myśl, to życzenie leży w duszy całego Kościoła katolickiego. Kiedy i jak spełni się to życzenie katolików? To jest głęboką tajemnicą Boga, który nad swym Kościołem czuwa, który rządzi wypadkami, który trzyma w swem ręku serca królów“.

Niestety, my płacimy koszta tej fantazyi, o której z pobłażliwą ironią odzywają się dzienniki rosyjskie, bo właśnie ta mrzonka o zjednoczeniu kościołów tłómaczy w znacznej mierze niezrozumiałą inaczej, dziwną uprzejmość Kuryi względem rządu rosyjskiego i jego stosunku do ludności katolicko-polskiej.

Z OBCEGO ŚWIATA.

== *Uroczystości koronacyjne we Francyi.* Jak wiadomo, we Francyi obchodzono koronacyę Mikołaja II równie uroczyście jak w Rosyi. Nie wszędzie jednak to nowe »święto narodowe« miało powodzenie. Dziennik *Le petit journal* podaje ciekawą wiadomość o rozruchach ulicznych w mieście Loos, którą w przekładzie przytaczamy:

»Wczoraj (d. 26) z okazyi koronacyi cara Mikołaja II patryoci (?) miasta Loos, (depart. Pas-de-Calais), urządzili wieczorem pochód z pochodniami i muzyką na czele. Ponieważ obawiano się kontr-manifestacyi, zawiadomiono o tem przeto prefekturę, która wydelegowała komisarza, policyę i stosowną ilość żandarmów dla osłony »patryotów«. Przy odgłosie muzyki, pochód wyruszył w porządku przez ulice miasta, napełnione publicznością, lecz skoro muzyka zagrała hymn rosyjski, nastąpiło z początku sykanie i gwizdanie, następnie rzucanie kamieniami ze strony zebranej publiczności, wreszcie bicie kijami i kopanie nogami, nie oszczędzające przytem ani komisarza, ani policyantów i żandarmów. Rannych i kontuzyonowanych jest niemała liczba. Władza policyjna, która podczas całej tej krwawej sceny zachowała zimną krew, aby uniknąć bezpotrzebnie dalszego krwi rozlewu, dała rozkaz muzykantom do rozpierzchnięcia się«.

Dziennik francuski nie podaje szczegółów o przeciwnikach manifestacyi rusofilskich. Prawdopodobnie byli to w większości robotnicy-socyaliści, bo w departamencie Pas de Calais ruch socyalistyczny jest bardzo rozwinięty.

== *Rozruchy uliczne w Petersburgu.* Pisma zagraniczne podały wiadomość o rozruchach ulicznych w Petersburgu i Moskwie podczas uroczystości koronacyjnych, którą następnie potwierdziła *Juridiczeskaja Gazeta.* Pijane tłumy na Newskim Prospekcie i innych ulicach pierwszorzędnych, napadały na porządnie odzianych przechodniów, zrywały im z głowy czapki i kapelusze i biły wszystkich, którzy próbowali stawić opór tej swawoli. Policya, która przy pomocy *dworników* (stróżów) usiłowała zaprowadzić porządek, musiała cofnąć się przed rozszalałym tłumem, złożonym przeważnie z robotników fabrycznych. Lud wyrywał kamienie i drewniane kostki z bruku i bombardował bramy domów, w których poukrywali się policyanci. Jednego z komisarzy policyi niebezpiecznie zraniono kamieniem w głowę. Dopiero kozacy około północy, w pierwszy dzień uroczystości koronacyjnych, zdołali rozpędzić tłum. Na drugi dzień powtórzyły się rozruchy i starcia krwawe z policyą oraz kozakami. Mówią, że podczas zaburzeń ulicznych zginęło lub zostało rannych około 250 osób, a kilkuset ludzi aresztowano. Znany w Warszawie generał Kleigels odznaczył się »odwagą i roztropnością« w stłumieniu rozruchów, które już nie powtórzyły się w ciągu dni następnych. W tym wypadku, jak w wielu innych, niektóre dzienniki zagraniczne widzą rękę mitycznych »nihilistów«. Zaburzenia nie były z pewnością następstwem obmyślanego planu i nic nie wskazuje na ich charakter polityczny. Tego rodzaju rozruchy, zdarzające się zresztą w Rosyi dosyć często, są przedewszystkiem dowodem niekulturalności ludu rosyjskiego, dzikości jego instynktów, następnie zaś świadczą o nienawiści względem klas inteligentnych, i względem policyi. Zrzucania kapeluszów przechodniom, przy okrzykach »hurra« na cześć cara — nie można nazwać manifestacyą polityczną. Ale niewątpliwie takie usposobienie ludu stanowi grunt podatny do wywoływania zaburzeń, z których agitacya rewolucyjna mogłaby korzystać, gdyby chciała i umiała.

Niektóre pisma przy tej sposobności przypominają, że podobne zaburzenia były w Paryżu podczas koronacyi Ludwika XVI i Maryi Antoniny i że lud uważał je za złą wróżbę. I na lud rosyjski wiadomość o krwawej katastrofie w Moskwie i o rozruchach w Petersburgu wywrzeć muszą wrażenie przygnębiające, tymbardziej, że tworzą się już fantastyczne legendy o tych wypadkach, zwiększające ich grozę i tajemniczość.

== *Katastrofa na polu Chodyńskiem.* Straszny ten wypadek, kończący uroczystości koronacyjne, zajął na chwilę uwagę całej prasy europejskiej. Mniej jednak o nim pisano, aniżeli można się było spodziewać, wobec tego, iż stał się

w oczach korespondentów największych dzienników wszystkich krajów. Wiadomości podane przez pisma sprowadzają się prawie wyłącznie do rosyjskich danych urzędowych, obfitszych niż zwykle, z konieczności wywołanej tak bliską kontrolą gości, sproszonych z całej Europy. Źródła urzędowe podały o wypadku dużo, ale jednocześnie rząd poczynił starania, ażeby więcej nie dostało się do wiadomości cywilizowanego ogółu. Najlepiej na tem musieli wyjść obecni w Moskwie korespondenci, którym za milczenie sowicie pewnie postarano się zapłacić. Jest jednak nadzieja, że dziennikarze europejscy, wróciwszy z Rosyi nie omieszkają podzielić się z publicznością swemi wrażeniami, chociaż bowiem ważne względy mogą ich od tego powstrzymywać, to po nad wszystkimi musi górować interes reporterski, liczący się z żądzą sensacyi u czytelników. Zapowiedzią tego rodzaju sprawozdań jest ostatni numer znanej na całym świecie, paryskiej *L'Illustration*, przynoszący ciekawą wcale korespondencyę i parę obrazków, otrzymanych drogą fotograficzną. Korespondencyę poprzedza krótki wstęp, w którym redakcya usprawiedliwia się przed czytelnikami, że dopiero w 10 dni po katastrofie zaspakaja ich ciekawość, chociaż droga z Moskwy do Paryża trwa tylko 4 dni, i tłómaczy się tem, że dla uniknięcia cenzury rosyjskiej trzeba było krętemi drogami fotografie i korespondencye przesyłać. Dla podniesienia zasługi swego korespondenta, redakcya podaje, że robienie zdjęć fotograficznych było rzeczą niezmiernie ryzykowną, gdyż administracya stawiała temu wszelkie możliwe przeszkody, a administracyi pomagał lud, który rzucał się na fotografujących, a jednego Anglika, który ukazał się z aparatem i bez ceremonii zabrał się do roboty, *„les moujiks"* dobrze poturbowali i aparat mu potłukli.

Administracya rosyjska przezornie bardzo postępowała, nie pozwalając robić zdjęć fotograficznych, bo te, które się udało korespondentowi ilustracyi francuskiej, otrzymać robią silne nader wrażenie i nie można powiedzieć, żeby się przyczyniały do podniesienia kredytu Rosyi za granicą. Widok pola zasłanego trupami tak gęsto, że miejscami nie wiadomo, do którego ciała dana ręka lub noga należy, i dzikich postaci chłopów, chodzących po polu, okraczając ciała, jest poprostu straszny, a nie można powiedzieć, żeby wzbudzał wiarę w kulturę rosyjską, fotograficzny obrazek, przedstawiający robotnika, leżącego na brzuchu na ziemi, z której świeżo sprzątnięto trupy i ciągnącego ustami piwo, wytoczone z beczki i tworzące na ziemi ogromną kałużę, w której zmieszało się z błotem, krwią i wszelkiego rodzaju wydzielinami ludzkiemi, kałużę, w której kąpały się martwe ciała ofiar. Pod tymi wszystkimi obrazkami, jakby dla ironii, położono ogólny tytuł.... »Uroczystości koronacyjne!«

W korespondencie paryskiego pisma walczy Francuz z reporterem. Pierwszy nie chce obrazić Rosyi, drugi nie może sobie odmówić podzielenia się z czytelnikiem rzeczami sensacyjnemi. To też, pomimo całej oględności, podał fakty, rzucające smutne światło na rząd i na lud rosyjski.

Opowiada on swoje zdziwienie na widok tłumu, który na dwie godziny przed chwilą, oznaczoną na rozdawanie podarków, dążył już w kierunku Moskwy z pola Chodyńskiego. Uderzyła go niezwykła fizyognomia tego tłumu, w którym ludzie żywo rozprawiali, potwierdzając gestami jakieś, straszne widocznie opowiadania. Zdziwiło go, że wielu z tych ludzi o tej już porze niosło w ręku zawiniątka z podarkami, że odzież ich była poszarpana, że wielu »*moujiks*«, mając na nogach po parze butów, niosło pod pachą.... po drugiej parze. Później ujrzał szereg długich wozów, na których pod pokryciem leżały jakieś bezkształtne masy, nie mógł się domyśleć — co. . Dopiero na jednym z ostatnich zobaczył wyglądającą z pod pokrycia nogę trupią i wtedy straszny domysł przesunął mu się w myśli. Domysł ten się potwierdził, gdy przybył na pole. To, co tam zobaczył, uwiecznił aparatem fotograficznym i przesłał pismu. Opis jego, zgodny mniej więcej z tem, co wszędzie pisano, zawiera miejscami znamienne szczegóły. Powiada Francuz, że wkrótce zaczęła się zabawa: lud tańczył przy dźwiękach muzyki, a o sto metrów od tańczących ładowano na wozy trupy Niewielki kontrast i wspaniały przyczynek do psychologii »młodego«, »niezgniłego« społeczeństwa. Francuz robi subtelną uwagę, że na to nie trzeba się zapatrywać ze stanowiska, przyjętego na zachodzie, bo lud rosyjski ma inne pojęcia i inne usposobienie. Ma to być usprawiedliwienie nieszczęsnych. Tą odmiennością pojęć i usposobienia usprawiedliwia też korespondent »biednego« cara, który musiał po masowem nieszczęściu tańczyć na balu. Racye wyższe kazały bawić się i tańczyć w Moskwie, udekorowanej trzema tysiącami trupów, bo tyle ich legło na polu Chodyńskiem, co i korespondent stwierdza, a urzędowa cyfra podaje przeszło 1.300 tylko tych, których ciała zostały poznane przez krewnych.

Ogromną ilość zgromadzonych na polu korespondent objaśnia tem, że po wsiach okolicznych rozchodziły się wieści, iż car każdemu da konia lub krowę. Skutkiem tego wielu biedaków przyszło nawet z postronkami.

Tak więc w relacyi nawet Francuza nie brak rzeczy, któreby rząd rosyjski chętnie ukrył, nie brak faktów, jak obdzieranie trupów z butów, jak pląsy na świeżych grobach i t. p., rzucających smutne światło na moralność wschodnich sprzymierzeńców. A ileż szczegółów musiało pozostać w cieniu dzięki umiejętnemu wzięciu się do rzeczy władz rosyjskich!

Dowiadujemy się, że car cofnął swoją ofiarę — po 1000 rubli dla rodziny każdego zabitego. Ogłosił on ją nieopatrznie, wiedząc dopiero o kilkudziesięciu ofiarach — później doszedł do przekonania, że mógłby się zrujnować.

Po katastrofie bezpośrednio nastąpiły na ulicach Moskwy zaburzenia, które policyi udało się uspokoić. Byli jednak i przedstawiciele władz poturbowani -- między innemi policmajster Własowski, którego o mało nie ukamienowano — były okna potłuczone i t. p.

Rząd rosyjski po tej katastrofie musi żałować przedewszystkiem masy wydanych na olśnienie gości pieniędzy. Zostały one zmarnowane. Przy całej szczodrobliwości, z jaką łożono na pompę zewnętrzną, goście rozjechali się z wrażeniem, wywołanem przez katastrofę. Ta właśnie chęć zaimponowania światu wywołała w znacznej mierze nieszczęście. Władze skupiły całą uwagę na stronę zewnętrzną, na to, żeby jak najlepiej świat swem bogactwem, potęgą i ładem okłamać, o tem tylko myślały, obok tego myślały jeszcze o możliwych zamachach i z tej strony rozwinęły czujność,— skutkiem tego zapomniały zupełnie o swych obowiązkach względem zwołanego tłumu, pozostawiły bez opieki tę dziką, pozbawioną wszelkiej tresury masę, i katastrofa musiała nastąpić. Stało się to, co w jednej z ramotek Wilkońskiego z dorobkiewiczowską, ekonomską rodziną, bawiącą się w państwo, która paradowała w koczu z chłopakiem w liberyi z tyłu pojazdu. Ale liberya na Kubę okazała się zaobszerna i wobec całego świata opadła mu najważniejsza część ubrania, której nie mógł podtrzymać, bo ręce miał zajęte trzymaniem się kocza. Tylko u Wilkońskiego mamy zabawną ramotkę, a rząd rosyjski nam pokazał straszny, krwawy dramat.

NOTATKI BIBLIOGRAFICZNE.

= *Proces Krożan przed Izbą sądową wileńską, na podstawie aktów sądowych i innych dokumentów* (z sześciu ilustracyami i dwoma planami). Kraków 1896. in 8° str. 292.

Rzecz powyższa jest pierwszą pracą o sprawie krożańskiej, opartą na autentycznych dokumentach i wyczerpującą przedmiot należycie. Należy się wielka wdzięczność jej autorowi, który umiał wydobyć ukrywane starannie dokumenty i opracował je umiejętnie. Mamy tu szkic historyczny o przeszłości Kroż, dokładne sprawozdanie z posiedzeń sądu, akt oskarżenia, mowy prokuratora i obrońców, badanie świadków, wyrok wraz z motywami, wreszcie akt ułaskawienia. Dodano do tego szereg dokumentów, z których na szczególną uwagę zasługują: opis wypadków krożańskich, sporządzony w więzieniu wileńskiem przez oskarżonych, list Orżewskiego do ministra spraw wewnętrznych i list prezesa Izby sądowej do ministra sprawiedliwości. Książka zaopatrzona jest w wykaz alfabetyczny osób i urzędów, sporządzony umiejętnie i starannie. Zdobią ją ilustracye, między któremi zwracają uwagę podobizny oskarżonych i skazanych oraz ich katów

Dzięki tej pracy dopiero dziś można sobie wyrobić należyte pojęcie o całej sprawie. To też ograniczając się dziś do obecnej notatki, skorzystamy w następnych numerach z dostarczonego materyału i podamy możliwie dokładny obraz sprawy.

KRONIKA BIEŻĄCA.

= Od 1 stycznia do końca maja wyemigrowało z Niemiec do Ameryki 6096 osób, w tej liczbie z Poznańskiego 860, z Prus zachodnich 396, z Prus wschodnich 131, ze Śląska 123.

= Pierwszy polski bank ludowy na Górnym Śląsku, założony w maju r. ub. rozwija się bardzo pomyślnie. W chwili założenia jego było 16 członków, w końcu r. 1895 102, obecnie jest 225. Depozytów do końca grudnia 1895 r. złożono 145,665 marek, od stycznia do końca maja 1896 — 340.553 marek. Pożyczek wydano w ciągu ostatnich 5 miesięcy 215.565 marek.

= W komisyi budżetowej parlamentu niemieckiego były dosyć ostre rozprawy z powodu wydatku 250.000 marek, wypłaconych posłowi niemieckiemu na uroczystości koronacyjne w Moskwie. Przemawiali przeciw marnowaniu pieniędzy na takie cele wolnomyślny Richter, socyalista Bebel i nawet konserwatysta, hr. Limburg.

= Kazania polskie w Gdańsku zaprowadzono, ale nie zawiadomiono o tem wcześniej ludności. Pomimo to na pierwsze kazanie przybyło około 400 osób. Ale polskiej nauki religii dla dzieci, przystępujących do spowiedzi, dotąd niema.

= Pruski minister spraw wewnętrznych wydał rozporządzenie, że Polacy, starsi wiekiem, którym w Prusiech mieszkać pozwolono, nie mogą otrzymać naturalizacyi. Synowie ich mają prawo starać się o naturalizacyę, jeżeli 1) urodzili się i wychowali w Prusiech 2) umieją mówić po niemiecku, 3) są w wieku, w którym się pełni służbę wojskową. — Minister oświadcza, że wskutek nowego rozporządzenia młodzi Polacy, poddani obcy, muszą albo naturalizować się albo wynieść się z Prus. Władze chcącym się naturalizować powinny dać czas do nauczenia się po niemiecku.

= Ks. Zaleski, tytularny arcybiskup tebański ma zostać delegatem papieskim w Ameryce północnej. Nominacya ks. Zaleskiego byłaby dla rodaków naszych w Stanach Zjednoczonych wypadkiem bardzo ważnym i pożądanym. Ks. Zaleski, ur. w r. 1852 na Żmudzi, dopiero w 30 r. życia wstąpił do seminaryum w Warszawie. Używany do rozmaitych misyi dyplomatycznych, był w ostatnich czasach delegatem papieskim w Indyach Wschodnich.

= Cesarz Franciszek Józef sankcyonował ustawę, mocą której Lwów zamiast 4 będzie wybierał 6 posłów na sejm krajowy, Kraków zaś 4 zamiast 3. Wybory nowych posłów odbędą się w jesieni, przed sesyą sejmową.

= *Kölnische Zeitung* pisze, że katastrofę na polu Chodyńskiem wywołali w nacznej mierze sami urzędnicy, rozdający podarki, żeby ukryć popełnione nadużycia. Jeszcze przed wypadkiem policyanci i heroldowie (?) zabili podobno 18 osób.

= Przed wyborem p. Rittnera rozeszła się wiadomość, że Koło polskie zamierza postawić wniosek o przeniesienie izby handlowej z Brodów do Tarnopola. Pogłoska wpłynęła decydująco na rezultat wyborów. Wtedy Koło oświadczyło, że rozstrzygnięcie tej sprawy pozostawia sejmowi.

= Do Poznania przybył niedawno z Sybiru p. Józef Skowroński, aresztowany i wysłany jeszcze w 1863 r. Jakkolwiek kilkakrotnie były manifesty o uwalnianiu poddanych zagranicznych, nie stosowano ich do p. Skowrońskiego, który i po ostatnim manifeście zostałby zapewne na wygnaniu, gdyby nie pośrednictwo kanclerza niemieckiego, który wskutek prośby rodziny wygnańca, wyjednał mu uwolnienie. Dodać trzeba, że p. Skowroński nie był wcale skazany do ciężkich robót, dawno więc należała mu się amnestya.

= Komisarz włościański na Podlasiu dla uczczenia koronacyi rozkazał włościanom kupić do kościoła obraz św. Aleksandry i z trudnością mu wytłomaczono, że to być nie może, bo takiej świętej kościół katolicki nie zna.

= W Londynie, na wielkiem zebraniu stowarzyszeń robotniczych przemawiał Liebknecht i takie wygłosił zdanie o sprawie polskiej: „Nie zapominajcie o tem, że ten dobrze i pożytecznie działa dla sprawy międzynarodowej, który dobrze rozumie interes własnego kraju. Rzućcie okiem na nieszczęśliwą Polskę, pomimo że najpotężniejsi despoci już od wieku podpisali na nią wyrok śmierci, ona ciągle żyje! ciągle drga! a rumieniąc się krwią swoich bohaterów woła — ja muszę być wolną! Socyaliści polscy już zrozumieli, że wtenczas mogą dać ludowi polskiemu całą wolność i swobodę, kiedy kraj swój uwolnią od carskiego najazdu!"

= Do *Gazety gdańskiej* piszą z okolicy podmiejskiej, że pastor miejscowy cieślom Kaszubom, pracującym przy kościele, zabronił mówić po polsku, bo znieść nie może tego języka. Kaszubi oburzeni porzucili robotę. Tenże pastor radził kupcom Niemcom, żeby nie sprzedawali towarów Polakom!

SPROSTOWANIE.

Przed paru miesiącami wszystkie niemal pisma polskie w Galicyi i zaborze pruskim obiegła wiadomość o książce Jerzego Brandesa »Wrażenia z Polski«, która jakoby obecnie w języku duńskim się ukazała. Wiadomość tę powtórzyło i nasze pismo.

Otóż p. J. Brandes w liście do naszej redakcyi zawiadamia nas, iż rzeczywiście taką książkę napisał, ale wyszła ona już przed ośmiu laty, i nikt jej wtedy w Polsce nie zauważył. Znakomity pisarz czyni słuszną uwagę, że Polacy mało wiedzą, co się o nich mówi za granicą.

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

Eppur si muove. Otrzymaliśmy 3 ruble 88 kop.

X. Y. w W. Rubli 10 otrzymaliśmy i niniejszem kwitujemy.

Na gimnazyum polskie w Paranie: Z puszki redakcyjnej 1 zł. 25 ct; Propter (patrz „List do red." w Nr. 11) 6 zł. 35 ct.; Młodzież Polska w Leodyum 7 zł. 30 ct.; inżynier L. z Królestwa 11 zł. 93 ct.; w sumie 26 zł. 83 ct. Razem z poprzednio zebranemi **80 zł. 33 ct.**

TREŚĆ: Od redakcyi. — Wzajemne nieporozumienia. — Oświata ludu w Galicyi, nap. Zawisza. — Polityka polska wobec nawały pruskiej. Kilka uwag ogólnych, nap. BartoszOstoja. — Z całej Polski, nap. J. L. Jastrzębiec. — Z zaboru rosyjskiego (Warszawa, Lublin). — Z zaboru pruskiego (Poznań, Prusy zachodnie). — Z Galicyi (Lwów). — Z kresów. — Z wychodztwa i kolonii (Milwaukee). — Przegląd prasy polskiej. — Przegląd prasy obcej. — Z obcego świata. — Notatki bibliograficzne. — Kronika bieżąca. — Sprostowanie. — Odpowiedzi od Redakcyi. — Na gimnazyum polskie w Paranie.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego. Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Dr. Wiktor Ungar.**